

ROK LIX.

CENA NUMERU 1.40 gr.

Nr. 5

BŁUSZCZ



WARSZAWA, 30 STYCZNIA 1926 R OKU

ANNA SŁONCZYŃSKA
MUZYKA SŁOŃCA I BOŻE GNIAZDO (poezje) 2 tomiki Zł. 5.
 Nakład Ludwika Chomińskiego. Wilno. Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Czeki P. K. O. dołączyliśmy do poprzedniego numeru. Prosimy o rychłe wpłacanie prenumeraty za miesiąc luty.

**WAŻNE DLA WSZYSTKICH
 PRENUMERATOREK!**

Jeszcze raz prosimy wszystkie nasze prenumeratorki, które mają zamiar „BLUSZCZ“ zamawiać w dziale gazetowym najbliższego urzędu pocztowego, lub u listonosza, o **NATYCHMIASTOWE ZAWIADOMIENIE NAS O TEM** oddzielną kartką, o ile tego dotychczas nie uczyniły, a to w celu estecznego uregulownia wysyłki pisma.

Wszelkie niedokładności i nieporozumienia, jakie wynikły przy wysyłce pierwszych numerów „Bluszcza“ pochodzą nie z naszej winy, lecz przyczyną ich jest zmiana sposobu wysyłania pisma przez Urząd Pocztowy. Otrzymane przez nas reklamacje zostaną po wyjaśnieniu sprawy z urzędem pocztowym, uwzględnione.

KTO MA BRODAWKI NA TWARZY I REKACH,
 KTO CIERPI NA ODCISKI (ODGNIOTY) NA NOGACH,
 NIECH KUPI PASTĘ

ESTA

ZNANĄ OD CZTERDZIESTU LAT ZE SWEJ SKUTECZNOŚCI, CZEGO DOWODEM SETKI UZNAŃ I PODZIĘKOWAŃ

wyrobu aptekarza
E. SOKAŁSKIEGO
 w KĘTACH—MAŁOPOLSKA.

NAJLEPSZE, najtrwalsze
 jedyne HIGJENICZNE

NACZYNIA
 aluminiowe, krajowe,

„PELIKAN“



polecają:

KRZYSZTOF BRUN i SYN
 Plac Teatralny. Marszałkowska 124.

136160

Chorzy!

Używajcie tylko pewne
 i wypróbowane środki

Chorzy!

Tysiące ludzi chronicznie chorych uzdrowiły znane od 1602 roku

REFORMACKIE

pigułki z m. Zakonnik



Zalecane przez powagi lekarskie REFORMACKIE pigułki z m. zakonnik radykalnie usuwają wszelkie cierpienia ŻOŁĄ KOWE, cierpienia NERK, cierpienia WĄTROBY KAMIENIE ŻÓLCIOWE, cierpienia HEMOROIDALNE, REUMATYZM, ARTERYZM, bóle GŁOWY, WYRZUTY I LISZAJE, pobudzają TRAWIENIE, APETYT i przy skłonnościach do OBSTRUKCJI są niezastąpionym środkiem PRZECZYZZAJĄCYM.

Użyjcie 1 do 2 pigulek na noc. Cena pud. zł. 1.15
 Wyrobu apteki KARCZEWSKI-TUSZYŃSKI Warszawa. Trębacka 4.
 Zadać w aptekach i składach z Zakonnikiem



ROK LIX

№ 5

PRZEGŁĄD KOBIECY TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIECY

WARSZAWA, 30 STYCZNIA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Nie trzeba—*Wanda Pelczyńska*. Udział kobiet w służbie państwowej—*Zofja Guzowska*. Brak ostatniego ogniwa—*H. C.* W odpowiedzi p. Samotyhowej—*Kl. S.* Mistyczka XX wieku—*C. Walewska*. Wiersze: „Kazanie na górze”—*Anna Słonczyńska*. Myśl o tem co chcesz—*Helena Ceysingerówna*. Margrabina de Bois de Boulogne (groteska w 3 aktach)—*Magdalena Samozwaniec*. Jedno spojrzenie (c. d.)—*Marja Kuncewiczowa*. Córka Boga(c. d.)—*Z. Zawiszanka*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Nowa placówka—*H. P.* Z książek—*C. W.* Z teatrów—*Zast.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Modne kokardki. Bał dziecięcy—*W. D.* Walka z bezgustem niemieckim w b. zaborze pruskim—*M. Bogusławska*. Jeszcze w kwestjach bolączek—*N. ska*. Objawy niedyspozycji u dzieci—*T. Szybie*—*J. S.* Piśmiennictwo ogrodnicze—*Stan. Schönsfeld*. Praktyczne prowadzenie domu—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jarema i Hamlet” (kronika zdarzeń z życia pewnego chłopca, jego psa i prowincjonalnego miasta (c. d.)—*Hugh Walpole*—(tłum. z angielskiego *Irena Wasiutyńska*). ARKUSZ WZORÓW.

NIE TRZEB A



Jeżeli za wojną wloką się złe widma rozkiełznania najniższych instynktów w człowieku, to za krwią skrytobójczo przelaną idzie stokroć straszniejsze zło. Wojna ma w sobie prócz zabijania bliźniego wszechocyszczające tchnienie bohaterstwa i samozaparcia, które jak najpiękniejszy kwiat wyrasta z krwawego podłoża ran i śmierci.

Mord natomiast zawsze mieć w sobie będzie brud moralny, który, jak zaraza, pada na słabe dusze ludzkie.

Gnieciony jarzmem niewoli naród nasz sięgał w rozpacz po sztylet skrytobójczy—ale zawsze sercem spiskowca szarpał lęk przed grozą konsekwencji moralnych, płynących z jego czynu, a w duszy żyła tęsknota za chwilą, gdy nareszcie będzie można zamienić sztylety na „święcone w kościołach pałasze”.

Zresztą Polacy mieli zawsze wstręt do krwi przelanej nie na polu walki, stąd dzieje nasze w porównaniu z dziejami innych narodów są prawie wolne od mordów politycznych, spisków, kaźni, znęcań nad pokonanymi i słabszymi wrogami.

Gdy w 18 wieku Francja krwawiła się w wielkim dziele rewolucji—my dokonaliśmy w czynie konstytucji 3 maja rewolucji bezkrwawej, a w dwa wieki później, gdy mord, popełniany w imię przemia-

ny stosunków politycznych, zapłonął groźną łuną na wschodzie Europy—powstrzymaliśmy własnymi pierściami nawałnicę zbrodni, mających rzekomo oczyścić stosunki ludzkie.

Kraj nasz przez zgórą setkę lat demoralizowali zaborcy, w ostatnim okresie niewoli przez ziemię polską przewaliło się straszne cielsko wojny. Rowy strzeleckie pocięły wzdłuż i wszerz żyzne pola, uzbrojona w karabin dłoń najeźdźców puszczała z dymem wsie i miasteczka, wieszała „podejrzanych”, rzucała przekupne srebrniki—a jednak złe ziarna nie zapuściły korzeni zbyt głęboko.

Dzięki szlachetnej odporności duszy polskiej nie jesteśmy dziś bardziej zdemoralizowani, niż te narody, które nie znały całej ohydy gwałtów wojennych, wlokących się, jak zaraza, za idącymi do walki szaremi kolumnami bojowego żołnierza.

Nie leży w naturze naszej ani krwawa zemsta, ani pastwienie się nad pokonanym i zwyciężonym—ani lubowanie się w oparach krwi i zbrodni. Jesteśmy pod tym względem narodem najczystszy w Europie.

To właśnie jest pięknym rysem Polaka, to stawia nas daleko od pławiącej się we krwi rewolucji rosyjskiej i od chępiących się swem brutalnym bestjalstwem prusaków.

Powinniśmy w sobie ten rys charakteru narodowego uświadomić i strzec go jako wielką war-

tość moralną, której nie wolno ani pomniejszyć, ani zaprzepaścić. Nie wolno! — bo to zepchnęłoby nas ku niższemu poziomowi życia.

Było to w czerwcu 1920 r. w Kijowie.

Przechodząc przez ul. Kupiecką, poczułam dziwnie mdły i odurzający zapach. W upalny dzień bez wiatru — gdy ze słońca spływał na ziemię oślepiający żar — z rozgrzanych murów domów, z rozpalonych płyt chodnika wydobywał się dziwny wyziew, którego nie umiałam nazwać, ani określić. Wyziew ten stał ciężki i nieruchomy nad tą zamartłą ulicą — zdawał się wypełniać sobą każde zalamanie muru, każdą szczelinę w bruku, czepiał się odzieży przechodniów, wchodził we włosy, dostawał się z oddechem do gardła i płuc i trzymał się niewidzialnymi szponami tak uparcie, że potem, gdy się już było daleko od tej przeklętej ulicy, jeszcze się miało w nozdrzach ów ohydny zapach. Dowiedziałam się potem, że na tej właśnie ulicy odbywały się masowe egzekucje „czerezwyczajki“ kijowskiej, i że pod płytką warstwą ziemi w ogródkach, a nieraz i w piwnicach domów gniją ciała pomordowanych ofiar.

W rozgwarze i nawale zajęć nie miałam czasu ani ochoty powracać myślą do tej strasznej, zapowietrzonych ulicy. Któregoś jednak dnia — wspomniałam o tem kobiecie, sprzątajacej mój pokój. — Oczy milczącej zazwyczaj służącej — rozbłysły gorączkowym ogniem, na usta wybiegł półuśmiech — półgrymas dziwnego podniecenia. Zaczęła mówić szybko, z gorączkowym pośpiechem, z nerwową zadyszką. Opowiadała o ohydnych zbrodniach, popełnianych tam, w tych milczących, zamartłych domach. Wymieniała jakieś nazwiska, plątała daty, snuła straszną opowieść o znęcaniu się i katuszach. Przerwałam kategorycznie i ostro. Była zdumiona, ale przelewszystkiem niezadowolona, że znalazł się ktoś, kto nie chce słuchać tych strasznych, już potysiącokrotnie opowydanych przez nią historii. Nie mogłam bez dużej przykrości patrzeć na jej zbiedzoną, wynędzniałą twarz: miałam wrażenie, że ciężki odurzający wyziew owej ulicy zamroczyl duszę tej kobiety, że w rozpamiętywaniu okropnych ludzkich męczarni znajduje jakieś złe, chorobliwe zadowolenie — że poprostu jest tknięta zarazą, jaką rozsiewa dookoła siebie każda zbrodnia.

I czyż tak nie jest w istocie?

We wsi, miasteczku, lub mieście, gdzie została przelana krew ludzka, pozostaje, jak zły wyziew — opowieść o zbrodni.

Opowieść ta z biegiem czasu rośnie, wyolbrzymia się, często urasta do rozmiarów legendy, której po nocach boją się dzieci, a którą z niezdrwym podnieceniem lubią opowiadać sobie dorośli.

Czyż dobrą rolę spełnia prasa codzienna, która, skwapliwie notując i wyjaskrawiając każdy wypadek zbrodni, roznosi szeroko i daleko po całym kraju bakcyl zła, kryjący się w sensacyjnej wiadomości?

Czyż owe szpalty pism, rozchodzące się w tysiącach egzemplarzy, zabarwione na różne odcienia krwawych zbrodni, gwałtów i nadużyć, są zdrową lekturą dla naszej pół i ćwierć inteligencji.

Czyż nie wzbudzają one tkwiących w duszy ludzkiej złych instynktów i czyż nie oswajają ze złem. Wszak podsuwanie ludziom codziennej porcji kryminalnych wypadków, podanych w formie specjalnie zaciekawiającej, przytępia wrażliwość i rozbudza niezdrowe zainteresowania.

Jak czyta gazety nasza młodzież szkolna?

Iluz ludzi otwiera dziennik odrazu na stronie — gdzie się mieści t.zw. kronika wypadków i zabójstw. Im straszniejsza zbrodnia, im krwawsze zająście, tem ciekawsza gazeta.

Co gorsza powstają tanie wydawnictwa, które chcą pociągnąć szerokie koła czytelników przez wprowadzenie opisów egzekucyj średniowiecznych, mak inkwizycji i kaźni, uprawianych w bolszewickich czerezwyczajkach.

Czy powinniśmy ten niezdrowy dreszcz sensacji, który idzie ku nam z więzień bolszewickich — gdzie tak niedawno jeszcze szalał terror czerwony, przyszczeplać na grunt polski?

Zamknijmy przed nim drzwi naszych domów — niech nas nie zaraża niezdrowym wyziewem. Nie pozwólmy, by do rąk naszej młodzieży dostawały się książki i broszurki, których treścią są opowieści o ohydnych mordach, dokonywanych po czerezwyczajkach, o pastwieniach się nad więźniami w bolszewickich kazamatach, o kaźniach Mikołaja i wielkich książąt.

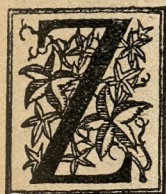
Kobiety, które muszą przekazywać przyszłym pokoleniom szlachetne rysy naszego charakteru narodowego, powinny zaprotestować! opinia nasza powinna położyć tamę zaczynającemu się u nas panowaniu sadystycznej manji i niezdrowych zainteresowań.

Nie wprowadzajmy lekkomyślnie do serc ludzkich złego wyziewu, który płynie z krwi braterskiej, przelanej kainową ręką.

Wanda Pelczyńska.



UDZIAŁ KOBIET W SŁUŻBIE PAŃSTWOWEJ



inicjatywy Prezydium Rady Ministrów dokonany został przez Gł. Urząd Statystyczny spis funkcjonariuszów państwa wej służby cywilnej według stanu na dzień 1 stycznia 1923. Spis ten, jakkolwiek daleki od doskonałości, jak stwierdza we wstępie Gł. Urz. Stat.—dostarczył jednak wiele cenne-

go i ciekawego materiału statystycznego, ilustrującego nasz aparat administracyjny pod względem ilościowym i częściowo jakościowym.

Ne siląc się na objęcie całokształtu tej sprawy i nie wdając w szczegółową analizę zebranego materiału,—pragnę jedynie na podstawie przytoczonych danych cyfrowych zobrazować udział kobiet w służbie państwowej i dokonać porównania co do stopni służbowych, lat służby, wieku i wykształcenia mężczyzn i kobiet w zależności od zajmowanego przez nich stanowiska.

Zaznaczyć nadto należy, że w ciągu ostatnich lat—w personelu państwowej służby cywilnej zaszły znaczne zmiany zarówno co do ilości (redukcja skutkiem akcji p. komisarza oszczędnościowego i ministrów skarbu), jak i w samym składzie.

Część osób zwolniono, a na miejsce niektórych z nich przyjęto nowe. Podane przeto cyfry nie dają ścisłego obrazu obecnych stosunków w państwowej służbie cywilnej. Pewne jednak fakty, np. co do poziomu wykształcenia, wieku kobiet, skupienia znacznej części urzędniczek w III kategorii i t. p. pozostały i nadal. Z tem zastrzeżeniem należy przyjąć przytoczone poniżej cyfrowe dane.

Dla łatwiejszego zorientowania się — musimy sobie uprzytomnić, że urzędnicy dzielą się zasadniczo na 3 kategorie w zależności od stopnia wykształcenia i funkcji, które pełnią.

I tak:

I kategoria najwyższa, do której należy t. zw. służba referendarska, z reguły wymaga studiów wyższych.

II kategoria podreferendarska i rachunkowa—wymaga wykształcenia średniego, wreszcie

III kategoria—pomoc kancelaryjna, wymagająca ukończenia szkoły powszechnej elementarnej, lub 3 klas szkoły średniej.

I tu zaraz na wstępie uderza nas fakt, że kiedy na wszystkich stanowiskach urzędniczych od najwyższych do najniższych spotykamy mężczyzn—to kobiety są przeważnie pracowniczkami najniższej t. j. III kategorii, jako pomocnicze siły biurowe, a tylko w nielicznych wypadkach zajmują one średnie i wyższe stanowiska.

Najdokładniej ilustruje to tablica zamieszczona w pracy wydanej przez Gł. Urząd Statyst. p. t. „Funkcjonariusze Państwowej służby cywilnej”. W tablicy tej mamy zestawienie cyfr wyrażających liczbę urzędników i urzędniczek III kategorii, oraz I i II kategorii poszczególnych działów służby państwowej, następnie przeciętny wiek mężczyzn i kobiet, przeciętną liczbę lat studiów, oraz przeciętny stopień służbowy.

Zestawienie ogólne tych danych przedstawia się w sposób następujący:

Na 18.540 mężczyzn III kategorii wszyscy h działów służby państwowej było 10.244 kobiet — na 18.527 mężczyzn I i II kategorii tylko 630 kobiet.

Przeciętny wiek mężczyzn w III kategorii wynosi 35 lat — kobiet 29 lat, mężczyzn I i II kategorii 41 lat, kobiet 33. Przeciętna liczba lat studiów mężczyzn III kategorii wynosi 6.6—kobiet 7.5, mężczyzn I i II kategorii 10.5 lat, kobiet 11.4. Przeciętna liczba wysłużonych lat mężczyzn III kategorii 8.5, kobiet 3.3, mężczyzn I i II kateg. 11.0, kobiet 4.9. Przeciętny stopień służbowy mężczyzn III kategorii 10.1, kobiet 10.6, mężczyzn I i II kategorii 8.1, kobiet 8.5*).

Przytoczone cyfry wykazują, że odpowiednio do zajmowanego stanowiska kobiety odznaczają się naogół wyższem od mężczyzn wykształceniem, mają jednak mniejsze lata służby i młodszy wiek.

To sprawia, że kobiety w III kategorii mają przeciętnie niższy stopień służbowy, niż mężczyźni, mianowicie bliższy XI, podczas gdy mężczyźni mają bliższy X-emu.

Jedynie w dziale opieki emigracyjnej na średnich i wyższych stanowiskach — kobiety mają przeciętną liczbę wysłużonych lat wyższą, niż mężczyźni.

Wyższ, niż mężczyźni, stopień służbowy kobiety mają tylko na średnich i wyższych stanowiskach w robotach publicznych i administracji skarbowej.

Autor wstępu do tablic statystycznych, z którego czerpię powyższe informacje — p. St. Pszczółkowski, — wyraża opinię, że przedewszystkiem wiek odgrywa tutaj zasadniczą rolę. I tak np. we wspomnianych powyżej robotach publicznych — kobiety jakkolwiek mają mniejsze lata służby i niższe wykształcenie — stopień służbowy posiadają wyższy, ponieważ przeciętnie są o 9 lat starsze od kolegów mężczyzn.

Również pewne upośledzenie kobiet i ich stosunkowo niski stopień służbowy na wyższych stanowiskach, p. Pszczółkowski tłumaczy młodym wiekiem urzędniczek.

W administracji szkolnej, gdzie kobiety posiadają wykształcenie wyższe niż mężczyźni — niższy stopień służbowy wynika wskutek krótszych lat wysługi.

Z dalszych tablic statystycznych wymienionego wydawnictwa wynika — że wśród niższych funkcjonariuszów państwowych (woźnych, gońców etc.) w administracji na 62.555 osób łącznie z niższymi funkcjonariuszami policji, było w 1923 r. kobiet 3.159 — dalej, że dość znaczna stosunkowo liczba kobiet pracuje na stanowiskach urzędniczych na pocztach i w telegrafii, a mianowicie na 14.142 wszystkich pracowników pocztowych było kobiet 6.014, wreszcie w państwowych instytucjach kredytowych na 3.177 osób mieliśmy 1384 kobiety.

Ciekawem jest również, że w administracji państwowej na 100 kobiet było panien 70,7, mężatek 23,4, wdów i rozwódek 5,9, podczas gdy na 100 mężczyzn było kawalerów 37,6, żonatych — 60,2, wdowców i rozwiedzionych 2,3.

W innych działach zarządu państwowego jest tylko nieznaczna liczba kobiet, zarówno w cyfrach bezwzględnych, jak i względnych.

Oczywiście, jak już zaznaczyliśmy na wstępie, tablice powyższe i przytoczone uwagi nie wyczerpują hynajmniej sprawy udziału kobiet w służbie państwowej. Trzebaby mieć bardzo dokładny materiał

*) Stopni służbowych urzędników istnieje 12, najwyższy 1, najniższy 12.

cyfrowy, któryby nam jeszcze unaoczniał jak kobiety są traktowane pod względem nadawania im szerszych praw urzędniczych, a zwłaszcza przy przeprowadzanej obecnie stabilizacji.

Z informacji z różnych stron i od czynników miarodajnych zasięgniętych — wnoszę, że pomimo oficjalnych zapewnień, jakoby płeć nie odgrywała w tych wypadkach żadnej roli — istnieje jednak pew-

nego rodzaju tendencja do traktowania kobiet jako elementu mniej stałego; mniej rzekomo mającego kwalifikacji psychicznych do trwałej, ścisłej pracy administracyjno biurowej. Kwestja ta tylokrotnie omawiana była na łamach „Bluszczu”, że zbytęcznem jest ją poruszać na tem miejscu, zwłaszcza, iż artykuł niniejszy ma znaczenie w pewnym zakresie jedynie informacyjne.

Zofja Guzowska.

BRAK OSTATNIEGO OGNIWA



olicja kobieca, Misje Dworcowe i przeniesiony z Pragi na Leszno, zorganizowany na nowych podstawach, Dom Noclegowy dla kobiet stanowią jakby kompleks urządzeń, zmierzających do zapewnienia opieki i obrony samotnej młodej kobiecie, przybywającej na zarobek do Warszawy.

Institucje te, z których każda inną ma przynależność organizacyjną, podają sobie nawzajem ręce, a nawet z rąk do rąk przejmują, często dosłownie, jednostki, potrzebujące opieki.

Z przyjemnością zaznaczyć tu należy znakomity, jak na nasze stosunki, rozwój Misji Dworcowych. Od chwili, gdy poświęciliśmy im w „Bluszczu” pierwsze wzmianki, upłynął rok przeszło i zapewne czytelniczki nasze ciekawe są dalszych losów tej pożytecznej instytucji.

Zorganizowane i utrzymywane przez Polski Komitet do walki z handlem kobietami i dziećmi, przy współdziałaniu Chrześc. Tow. Ochrony Kobiet Misje mają w znacznym stopniu charakter instytucji nowożytnej. Delegatki Misji są pracownicami, opłacanymi przez Komitet, co sprawia, że funkcje swoje mogą i muszą spełniać skrupulatnie i obowiązkowo. Dopóki personel Misji składał się z pań, „łaskawie” ofiarujących godziny dyżurów na dworcach, opieka nad przyjeżdżną młodą kobietą była poprostu fikcją i zdaje się dotychczas fikcją jest we wszystkich tych miastach naszych, gdzie system ten utrzymano. Poprostu nigdy żadnej z pań, dyżurujących na Dworcu warsz., spotkać nie było można.

Wskazuje to raz jeszcze, że w dzisiejszych warunkach życia wszelka akcja społeczna wykonywana być musi i powinna siłami płatnymi. Obecnie w Warszawie obsadzone są już wszystkie Dworce. W Misjach dworcowych pracuje 9 delegatek, 2 opiekunki i bardzo energiczna i oddana sprawie inspektorka, p. Marta Walewska.

Na każdym Dworcu Misja ma swoją kancelarię, mały pokój, do którego zgłaszają się podróżne, gdzie udziela się informacji i załatwia wszelkie interesy.

Prócz tego na Dworcu Głównym i na Dworcu Wschodnim posiadają Misje rodzaj schronisk, czysto i porządnie urządzonych, na 10 łóżek każde. Tam, nie mająca krewnych, ni znajomych w stolicy, młoda podróżna spędzić może wedle regulaminu jedną noc; często jednak uwzględnia się jej trudne położenie i zatrzymuje ją w schronisku do chwili zdobycia przez nią pracy. W razie przepełnienia schronisk na Dworcach odsyła się podróżną do hoteliku Tow. Ochr. Kobiet przy ul. Mazowieckiej, a w razie

ostatecznym, gdy i tam niema miejsca, do Domu Noclegowego przy ul. Leszno.

Kto widywał, co działo się na Dworcach przed wprowadzeniem tych urządzeń, czyją uwagę zwróciły na siebie podejrzanе indywidua obojej płci, polujące na przyjezdne, bezdomne i bezrobotne dziewczęta, ten ocenić może wagę i znaczenie wprowadzonych w życie instytucyj.

W początkach pracy swojej miały panie z Misji trudne, a nawet niebezpieczne zadanie. Podejrzanе indywidua wydierały im wprost z rąk przyjezdne dziewczęta ofiarując tym ostatnim noclegi w hotelach, ciesząc się głośną sławą, w t. zw. „Chambres garnies” i t. p., zapewniając „posady”, „miejsca”. Były wypadki poturbowania pań misyjnych przez te bezczelne i przywykłe do bezkarności żywoły.

Dopiero wprowadzenie stałych dyżurów policji kobiecej na Dworce, przy energicznem i chętnem współdziałaniu policji męskiej dokonało przewrotu. Dziś już całkiem inna jest fizjonomia sal dworcowych. Jak zapewnia jedna z najenergiczniejszych delegatek, pracująca w Misji Dworca Głównego, p. Łuskiewiczówna „policja kobieca wypłoszyła z Dworca handlarzy żywym towarem, stręczycieli i stręczycielki, a także myśliwych, polujących na własny rachunek i dziś Misja spokojnie pełnić może swoje zadanie”.

A oto rezultat ich pracy w cyfrach za czas od 1/I 1925 do 1/I 1926 r.

Ogólna liczba klientek Misji dworcowych w Warszawie wynosi: 6210 osób.

Z tej liczby przypada na:

Dworzec Główny — 3898.

Umieszczono w schroniskach i na Mazowieckiej (Tow. Ochr. Kobiet) 1441 osób.

Udzielono pomocy w różnych formach, jako to: informacji, adresów instytucyj, biur, tanich noclegów, pomocy na Dworcu i t. p. 3056.

Udzielono zapomóg w formie tanich obiadów, herbaty i chleba, dopłaty do biletów kolejowych i t. p. 140 osobom.

Dworzec Wschodni: (Od 1 maja 1925 do 1 stycznia 26 r.) 1879 osób.

Udzielono nocł. w schronisku miejscowem — 612 osobom.

Udzielono pomocy, informacji adresów, opieki, posad 1336.

Udzielono zapomóg, obiadów, dopłaty do biletów 140.

Dworzec Gdański: (od 1 maja 1925 do 1 stycznia 1926 r.) 171 osób.

Umieszczono w schroniskach: 20 osób.

Udzielono pomocy, informacji 191.

Udzielono zapomóg, obiadów i t. d. 22.

Dworzec Wileński (od 1 listopada 1925 do 1 stycznia 1926 r.) 262 osób.

Dostarczono noclegów w schroniskach 74 osobom.

Udzielono pomocy, informacji, adresów 173 osobom.

Udzielono zapomóg, obiadów, dopłaty 18.

Z powyższego widać, jakiego rodzaju zadanie pełnią Misje; także możemy stąd zaczerpnąć wskazówkę, które z wymienionych placówek są najważniejsze.

Zatem, poza Dworcem Głównym, który ogniskuje w sobie napływ ze wszystkich stron Państwa, uderza nas bardzo duża stosunkowo klientela Misji na Dworcu Wileńskim. Za dwa miesiące cyfra 262 osób jest imponująca.

Liczyby przedstawione przez Dworzec Wschodni za pierwsze półrocze działalności dorównywiają prawie liczbom Dworca Głównego. Najmniej ruchliwy jest Dworzec Gdański.

Cyfry jednak, choć wymowne, nie dopowiadają wszystkiego. Niejako poza programem oficjalnym pozostaje sprawa dostarczenia pracy przyjezdnym dziewczętom.

Załatwiają to albo prywatnie zupełnie panie z Misji, albo policja kobieca przez swoje rozgałęzione stosunki, albo biuro pośrednictwa Tow. Ochrony Kobiet.

I to jest najważniejsza bodaj część akcji.

Jednakże, jak twierdzą panie z Misji, przed rokiem była sprawa ta o wiele łatwiejsza, niż dziś. Prawie każda z kobiet, zgłaszających się do Misji, a chcących naprawdę pracować, zajęcie lepsze, lub gorsze otrzymywała.

Dziś, wobec wzrastającego bezrobocia, ani przez Biuro Tow. Ochr. Kobiet, ani przez stosunki osobiste pracy nastęrczyć im niepodobna.

I w tem tkwi cała tragedia. Albowiem, poza Dworcem grasują te same ciemne, a nieuchwytnie żywy, które zmuszone były Dworzec opuścić. Czyhają one na zrozpaczoną brakiem pracy samotną młodą kobietę, by pochwylić ją w swoje szpony i podać na hańbę i zatracenie. I istotnie cóż ma ona do wyboru? śmierć głodową, albo upadający zarobek, który zewsząd pchają jej w ręce.

I tu dochodzimy do kulminacyjnego momentu naszych wywodów.

Pozostawiając na uboczu informacje o Domu Noclegowym dla kobiet i obiecując sobie powrócić do tego tematu innym razem, zaznaczyć pragniemy, że sprawa dostarczenia zarobków kobietom byłaby właściwie jedynym skutecznym lekiem na klęskę prostytucji i handlu kobietami.

W dzisiejszych czasach, nawet wśród najmłodszych dziewcząt, mało jest takich, któreby przez nieświadomość, lekkomyślność i nieostrożność wpadały w ręce stręczycieli. Prawie zawsze kobieta wybiera, choć nie zawsze znaną jej jest cała głęb otchłani, w którą się rzuca; wybiera hańbę, bo nie ma odwagi na samobójstwo, a głód i zimno pchają w ręce handlarza.

Zatem ci, co sprzęgli dotychczasowe ogniwa opieki nad młodemi kobietami, niechże dodadzą do nich jeszcze jedno, najkonieczniejsze: Dom Zarobkowy.

O Dom Zarobkowy wołają policjantki, którym na wszystkie ich argumenty i przełożenia odpowiada upadająca dziewczyna: niech mi pani da pracę! O Dom Zarobkowy wołają Misje Dworcowe, gdyż akcja jednych i drugich staje się bezowocną w momencie, w którym tego ostatniego ogniwa braknie.

Dom Zarobkowy może dawać pracę złe płatną, ale musi dać ją zaraz i każdej, która się po nią zgłosi, przysłana przez policję kobiecą, Misję Dworcową, lub Tow. Ochrony Kobiet. Niechby ten Dom Zarobkowy był pewnego rodzaju prowizorium do chwili wyszukania sobie przez robotnicę odpowiedniejszej i korzystniejszej pracy, ale niechby dawał możliwość przetrwania.

Są kobiety, które wołają raczej samobójstwo, niż prostytucję. Dowodem—tyle zamachów samobójczych, dokonywanych przez młode kobiety, pozbawione pracy. Są takie, które pracować chcą tylko za dach i jadło, byle nie zejść na te bezpowrotne ścieżyny. Dom Zarobkowy obok Domu Noclegowego stanowiłby dla nich deskę zbawienia.

Ale właśnie tego ostatniego ogniwa brak

H. C.

W ODPOWIEDZI P. SAMOTYHOWEJ

W nr. 50 „Bluszczu” przeczytałam artykuł p. t. „Na marginesie artykułu „Protestujmy” i byłam istotnie ogromnie zdziwiona, że kobieta utalentowana i poważna może się nie zgadzać ze świetnym protestem, p. Zawiszy (Nr. 33). — Uważam, że w obecnych czasach jest to rzecz tak niezmiernie wagi, co gorzej jest to tak paląca rana naszego powojennego społeczeństwa, że pod żadnym pozorem (nawet w imię altruizmu, w tym wypadku błędnie pojętego) nie wolno nam przechodzić nad tem do porządku dziennego. P. Samotyhowa natomiast nie uzasadnia nawet swego sprzeciwu, nie trzyma się ściśle tematu, gubi w sofizmatkach i mam wrażenie, że uniesiona na bystrych falach retoryki, zupełnie zapomina o czem chciała pisać, bo przecież najmniej mówi o samym tym ohydny i zbrodniczym fakcie gwałtu, który jest gorszy od morderstwa i jako taki powinien być jak najsurowiej ka-

rany. Gwałciciel to albo degenerat, albo człowiek zły do gruntu, a zatem jednostka niezmiernie szkodliwa. Dlatego jednostka ta musi być za wszelką cenę usunięta, a nawet zniszczona (bo wiemy, że wady dziedziczy się w znacznie wyższym stopniu, niż zalety).

Myli się p. Samotyhowa, gdy mówi: „tępiąc go, popieramy indywidualność i raczej rozjątrzamy człowieka, potęgując w nim nienawiść, zamiast dobrać się do tych zakamarków duszy, w których kryje się dobra wola”. — Ha! W istnienie dobrej woli w wypadku tej zbrodni mocno wątpię. Trzeba sobie jasno zdać sprawę, że z jednej strony mamy indywidualność zdegenerowaną, chorobliwą jednostkę, a z drugiej interesy grupy społecznej, grupy najbardziej obiecującej, stanowiącej przyszłość narodu. Czy wolno się wahać? nie, wybrać trzeba najsurowszą karę, bo przez tolerowanie takich zbrodni

stajemy się współwinnymi i bierzemy na siebie wielką odpowiedzialność. Tu o kompromisach mowy być nie może; kto nie popiera protestu, staje po stronie gwałtu!

Pytaniu autorki: „Czy człowiek, czy jakikolwiek trybunał ludzki ma istotne prawo skazywać na śmierć innego człowieka?” przeciwstawię drugie analogiczne: czy ktokolwiek na świecie ma istotne prawo bezkarnie złamać przyszłość młodej dziewczyny, lub niewinnego dziecka?

Czy nie jest to największe bezprawie pod słońcem? a jednak p. Samotyhowa przechodzi nad tem do porządku dziennego, a broni przestępcy i jego praw człowieka, skoro on de facto człowiekiem być przestał. Co więcej, uczuciowość jej idzie dalej, oto maluje nam nadzwyczaj barwnie i plastycznie stracenie przestępcy (mowa tu o gwałciicielu). Co do mnie, nie mam tak bujnej wyobraźni, jak autorka; nie mogę się rozczulać nad winowajcą, który słusznie na karę zasłużył i sędzę, że takie uczucia nadają się znakomicie, jako temat do powieści bardzo oryginalnej i sensacyjnej nie zaś do dyskusji. Natomiast widzę przed sobą wykołajone i złamane życie ofiary tego „nieszczęśliwca”, którego tak broni p. Samotyhowa. Nazwa ofiary nie jest tu przesadzona, bo znamy obecny świat i obecną mało kulturalną opinię, która będzie surowo i bezwzględnie potępiać dziewczynę za błąd niepopołniony...

I oto porównywuje pani S. śmierć najgorszego pod słońcem zbrodniarza do stracenia takich bohaterów, jak: Sokrates, Joanna d'Arc i t. d., którzy zginęli za swe ideały.

Nie mówi się tu o ludziach niedoskonałych i grzesznych, ale o patologicznych zboczeniach,

o jednostkach, które szerzą zgniliznę moralną i których nigdy chyba nie będzie ludzkość uważać za bohaterów idei, ani z punktu widzenia filozofii, ani religii, ani żadnego innego.

Jeżeli istnieje jakakolwiek analogia między losem obu tych kategorii ludzi (bohaterów i przestępców) to tylko pozorna, bo promienna aureola nigdy jeszcze nie wieńczyła długo głowy zbrodniarza.

„Gruntowna zmiana moralności!” Dobrze, zupełnie się z tem zgadzam, ale zanim to nastąpi, stoimy przed zastraszającym pytaniem. Co dalej będzie? co teraz robić? bo to pewne, że 6-ciomiesięczne więzienie nie potrafi tak umoralnić człowieka, przeciwnie rozzuchwala zbrodniarza, a co gorsze rozzuchwala i innych. Ludzie tego rodzaju, to przede wszystkim tchórze. Jednego gwałciiciela straconym napewno odstraszy dziesięciu, a uratuje niezliczoną liczbę niewinnych. Czy nasze społeczeństwo, a zwłaszcza kobiety nie potrafią stanąć w obronie swej czci, jak to robili dawni Polacy? Nie dyskutuję, czy w puściźnie wiele zostawili nam dobrego, ale właśnie to jedno prawo gardłem karzące gwałciiciela było wyborne i świadczyło najbardziej o ich tężyznie moralnej. Czyż my, którzy niestety przejeżdżaliśmy po nich różne wady, mamy odrzucać to, co nam przekazali dobrego? My, polskie kobiety powinniśmy we własnym interesie stanąć po stronie p. Zawiszy. Musimy się pozbyć fałszywych i nieszczerých uczuć altruizmu i z całym zapalem przyłączyć się do protestu. Tu nie można rozczulać się, zamykać oczu na fakty, tonąć w fantasmagorjach, ale trzeba z całą świadomością i konsekwencją dążyć do celu.

Kl. S. z Wielkopolski.

MISTYCZKA XX WIEKU

Znamienną cechą powojennego piśmiennictwa francuskiego jest niezliczona ilość wydawnictw treści religijnej. Są to przeważnie życiorysy i wyciągi z pamiętników kobiet, które bądź od urodzenia czuły w sobie poryw mistycyzmu, bądź — po latach niewiary z prób ciężkich zwróciły się do Boga, zostawiając płomienne wyznania nieziemskich swoich tęsknot i ukochań. Nastrojem i ekstazą przypominają kartki tych mistyczek i konwertystek współczesnych glossy św. Teresy i zaświatowe wizje Katarzyny Sienneńskiej. Ale, gdy rzeczy zamierzchłe są dla żyjących jak legendy, to, co działo się za nich jeszcze, co mogli byli przeżywać sami, gdyby ogień święty padł był w ich dusze, — nabiera dziwnej tężyzny realnej. Staje się krwią pulsującą, dotykalmem niemal ucieleśnieniem. Dlatego tak bardzo czytane są te książki. Dlatego każda z nich ma po kilka, kilkanaście wydań.

Do ciekawszych prac z tego cyklu należy „Pamiętnik i rozmówienia Janiny Taillandier” (zakonne imię Siostra Marja Anzelma)¹⁾, mistyczki od lat najmłodszych prawie i konwertystki, oraz Magdaleny Sémer, której poświęcimy sprawozdanie w jednym z następnych numerów „Bluszczu.”

la, za nocę tak cicho wsłuchane w ostatnie westchnienia usypiającej przyrody.

Miasteczko dumne było z bardzo starego swego kościoła. Obojętnie krążyła dokoła niego myśl małej Janki, która do lat 12-tu nie kochała Boga. Głos jego usłyszała w sobie dopiero przy pierwszej komunji, ale i później jeszcze milczał w niej poryw mistyczny. Zajmowały ją wówczas rzeczy ziemskie, a pochłaniała nadewszystko miłość dla maleńkich dzieci.

Pochodziła z rodziny, w której co rok prawie przychodził na świat potomek. Najstarsza z rodzeństwa pomagała matce, zmęczonej i stroskanej, w pielęgnowaniu niemowląt. Wyczekiwała każdego z nich, jak objawienia nowej prawdy i kochała je do szaleństwa. „To mój przyjaciel” pisała w swym pamiętniku. „Opowiadam mu troski swoje i radości. Cały czar w tem, że nic nie rozumie, nie gniewa się, nie wyśmiewa i pozwala kochać siebie tak bardzo.”

W 13-ym roku życia spotkała „świętego” księdza, który zbudził w niej uspięne na dnie duszy ideały. I odtąd jedynym jej pragnieniem stała się służ-

¹⁾ Les carnets d'une âme. Soeur Marie Saint-Anzelme des Soeurs Blanches de Notre Dame d'Afrique 1889—1918. Journal et Méditations. Préface de Georges Goyau. Septième Edition. Couronné par l'Académie Française. Librairie académique Perrin et Ce.

Janina Taillandier urodziła się w 1889 r. w małym miasteczku Pont du Château górzyskiej Owernji, którą ukochała za jej łąki szmarglowe i płowe po-

ba boża. Umacniał ją w tem ojciec, z zawodu inżynier, a który—mimo bardzo realnej swej pracy—(prowadził browar na wielką skalę) był mistykiem głębokim i całe życie marzył, żeby zostać misjonarzem.

Wkrótce zaniewidział, a wtedy Janka stała się okiem jego, mózgiem, wolą, czynem. Prowadziła za niego fabrykę, utrzymywała rodziców i siedemnascioro swego rodzeństwa. Żywa, energiczna, dowcipna, pełna wdzięku i inteligencji, wkładała w pracę swoją wszystkie siły młodzieńcze. Ale tylko siły fizyczne. Widząc ją zawsze czujną, baczną na wszystkie sprawy, a przytem wiecznie wesołą, śmiech jej rozlegał się po całej fabryce, nikt nie byłby przypuszczał, że miała w sobie swoje własne, zatajone oltarze.

Po śmierci ojca mówiła o tem tylko już z matką. Klasztor—postanowiła wstąpić do zakonu. Ale jeszcze potrzebowało jej rodzeństwo. Jeszcze musiała pracować dla siostr i braciszków.

* * *

W 1869 r. z inicjatywy kardynała Lavigerie powstał zakon Misji Sióstr Białych w Afryce. Celem jego było nawracanie dzikich plemion. Ale twórca zakonu wiedział, że przedewszystkiem trzeba oddziaływać przykładem niezmordowanej, pożytecznej pracy. Więc stanęli ci apostołowie nowej idei do twardej orki.

Gdzie można było przeciągnąć pług, przygotowywano ziemię do błogosławionych siewów. cinali dzikie oliwki — na ich miejsce wprowadzali słodkie wino. Gdy tyfus głodowy dziesiątkował Algier, podjęli walkę z nim. Założyli sierociniec dla dziewcząt. Siostry zakonne chrzczą je dziś jeszcze, uczą, wychowują na gospodynie i matki. Zawierają śluby te czarnoskóre neofitki z czarnymi wychowawcami Białych ojców, tworzą pierwsze chrześcijańskie rodziny i zaczątki społeczeństwa.

Po sierocińcach przyszły szkoły, szpitale, apteki, przytulki, sale zarobkowe, schroniska tymczasowe i tysiące innych dzieł dobra publicznego. Welony Sióstr Białych powiewały wkrótce nietylko w Kabylu, Tunisie, ale nawet na oazach Sahary, a w kilka lat później nad Nianzą, Niassą, w Górnym Kongo, Sudanie, Ugandzie i t. d. W 1919 r. dzieci już tysiącami zgłaszają się do nauki katechizmu. Siedemdziesiąt karawan Sióstr Białych ciągnie drogami czarnych krajów! Piętnaście z pomiędzy nich ze specjalnem przeznaczeniem dla Sudanu francuskiego.

Praca ich zaczyna się zwykle od zabiegów dookoła chorych, od opatrywania biednych skancerowanych twarzy, tak częstych tutaj. Arab dumny ze swej piękności, cierpi nad tem stokroć więcej duchowo, aniżeli fizycznie. Zdeptany, upokorzony król pustyni. Z kijem w ręku, w słońcu piekącym, szukają Białe Siostry po chatkach dalekich ludzi zarażonych, na czoła których spływa po pewnym czasie święta woda chrztu, tak słodka według pewnej starej arabki, że zdaje się, iż „spływają z nią róże”. Niema trudu, cierpienia, wysiłku, któregooby nie nagrodziła jedna dusza zdobyta. Gdy jakaś mała dziewczynka, zarzuciwszy ręce na szyję którejś z Sióstr Białych, zawołała: „Kocham ciebie więcej, niż matkę swoją, bo ty robisz dla mnie to, czego matka nie zrobiła”, misjonarka, padając ze zmęczenia,

rozplakała się łzami radości. Do tego zakonu wstąpiła Janina Taillandier, otrzymawszy imię klasztorne Marji Anzelmy (Soeur Marie Sainte-Anselme).

Biały habit, biały welon i sznureczek z czerwonego jedwabiu dokoła szyi, jak smuga krwi, jak krew pierwszej rany — to strój misjonarek, do których z szalem serc pierwotnych przywiązują się dżicy wychowawcy.

Z całą pasją żywiołowej swojej natury oddała się Siostra Anzelma teraz dziełu miłosierdzia. Chorzy w szpitalu byli dla niej, jak własna rodzina, którą otoczyła najtkliwszą opieką. Pokochała nadewszystko małych murzynków. Arabi nazywali ją „petit ma soeur”, pełni uwielbienia. Ten dziwny świat dawał jej rozkosz niewysłowioną.

Po trudach dnia miewała godziny zaświatowych wzlotów. Modlitwa jej była jak Boże światło przed Ciałem Chrystusa w ołtarzu. Wzięła na siebie pokutę za grzechy i brak miłości dusz, poświęconych Bogu, za siostry i braci zakonnych, którzy nie dotrwali w regule, za księży świeckich, którzy złamali śluby, za przekroczenia sług bożych świata całego.

Od lat dziecięcych czuła w sobie zatajoną potrzebę męczeństwa. A teraz — ogarnęło to płomieniem jej duszę.

Wtem wybuchnęła wojna. Większa część Sióstr Białych poszła na front — Marja Anzelma z innemi. „Co za honor służyć Francji bezpośrednio wszystkimi siłami” pisze w pamiętniku swoim.

Przeznaczono ją do opieki nad rannymi w pałacu magnata — patryoty w Rennes. Przepych wielkiego domu, stół wytworny, wspaniałe urządzenie, park przepiękny, 25 osób służby domowej—wszystko to unieszczęśliwia duszę, oddaną tylko czynom miłosierdzia i obcowaniu z Bogiem. Biała Siostra boi się o siebie. Ma chwile słabości, jak dziecko.

Przenoszą ją z Rennes. Ale siły jej słabną. Lekarze szła ją na południe. Wraca do swoich Sióstr Białych i czuje, jak słodko, cicho zbliża się wielki dzień, któremu nie będzie końca. „Po co żyjemy, jeżeli nie po to, aby przygotowywać się do tego prawdziwie własnego zakątka tam w niebie? Małe serce nasze nie wystarcza nam wobec tego atomu nieskończoności, który mamy w sobie, a którego nie może wypełnić skończoność tu na ziemi”.

Jak wszystkie błogosławione i święte, wyczuwa nostalgię zaświatową. Ale „jestem najweselszą chorą, jaką wyobrazić sobie możesz”, pisze do matki.

Trawi ją gorączka. Szarpie płuca i nerwy kaszel suchotniczy. Gruźlica pada na kiszkę. Więc męka fizyczna nie ma granic. Ale mimo bólu szarpającego nie schodzi uśmiech z jej ust. „Śmierć jest przyjaciółką”—notuje w dzienniku,—ale jest nią i cierpienie, które nie odstępowało ani na chwilę. Cierpienie,—bardzo brzydka, źle odziana, mizernej kondycji, o wstrętnym wyglądzie towarzysząca, mocno

kapryśna, ale jakżeż wierna i oddana! — Można wybaczyć tym, co jej nie rozumieją, lub nienawidzą. Ale gdy się pozna i stwierdzi cudowną pracę jej w duszy, gdy męstwem i cierpliwością zdoła się ją opanować, gdy zatraci się wstręt do jej odrażających pozorów—wówczas zaczyna się ją kochać do szaleństwa, szaleństwa Krzyża.”



Miała Siostra Marja Anzelma niegdyś nad biurkiem swoim w fabryce obraz. Chmury, step niezmierzony

stary ksiądz z sakramentem, a przed nim chłopiec z dzwonkiem i latarnią. Marzyła—ach przewędrować tak pustynię życia—z Bogiem i do Boga!

Przewędrowała.

Miała drugi obraz—morze, niebo i śnieg w górach, jak przeczysty welon oblubienicy.

Iść w tę biel — iść — nie wrócić — —

Gasła powoli. Cicho, łagodnie dokonywał się cud

boskiej ręki zmian w jej organizmie — zmian koniecznych.

Szła w biel śnieżną oblubienica Chrystusa. Szła, żeby nie wrócić. Prowadził ją korowód aniołów.

Zmarła w 1918 r. Zostawiła dziennik — wzlot najpłomienniejszych myśli do Boga. Zostawiła listy do matki — arcydzieło formy i przepastnej głębi uczuć w prostocie swej i szczerości. C. Walewska.

ANNA SŁONCZYŃSKA.

KAZANIE NA GÓRZE

Wzgórze było niewielkie, lecz—Wielkiem się stało, albowiem On usiadł na niem—

i, mając w dole rzeszę—niby ludzkość całą, która—podobna rzece: głęboka i—pusta, zimna i—szalejąca, miękka i—zuchwała, u Jego stóp korną falą się rozlała—ogarnął ją oczyma od brzegu do brzegu, a ujrawszy, że patrzy Mu w oczy—pytaniem, wionął nad nią rękami swemi, barwy śniegu, i—otworzył usta.

A z ust Jego upadły — Słowa: tylko Słowa. . nie kwiały malowane zielenią i tęczę, nie perły, które świtem lśnią i deszczem dźwięczą, i nie gwiazd zlatujących zawieja różowa... A jednak ze Słów owych było coś takiego, taką jakąś przedziwną czarodziejską siłą, iż rzesza pochyliła się, zgięła, skurczyła, ukłękła, jak pod wichru ręką—za mocnego!

A były owe Słowa—nawet niewspaniałe, niestrojne w szkartat ani w złoto oszołomne—przeciwnie: One były niesłychanie skromne, jednostajne urodę swą i strojem—białe...

A jednak taki przepych szedł od Nich—tajemny, taki blask—jaśniejący światłem swoim własnym — iż rzesza rozumiała, że po czemś tak jasnym sam słońca wzrok wydawać jej się musi—ciemny!...

A nie tętniły Słowa owe—wiersza tętnem, nie bieżyły w tańcu rytmów, szumiąc krwi potokiem—One—szły tylko: szły powolnym, chłodnym krokiem, szły w zamyśleniu sennem może... może smętnem... A jednak taki oddech z Nich wiał—ciepła słupem, takie serce w Nich grało—życiem przeraźliwym, iż rzesza rozumiała, że po czemś tak żywym, cała ziemia wydawać jej się musi—trupem!

...To też—kiedy zakończył i ze swego wzgórza zaczął zstępować cicho, niby Promień biały, co zstępuje z błękitów i w cień się zanurza — rzesza czuła, że Słowa owe—nie skończyły: że Słowa owe żyją i żyć będą dalej, żyć będą po jej śmierci, i po śmierci Jego, i po śmierci prawnuków tych, co Go słuchali, i po śmierci narodów, i świata całego. I że kiedyś—gdy nic już nie będzie innego, tylko mrok, a w nim dusze nasze, całe w lękach, oblane morzem śmierci, niby czarną tonię—One: te Jego Słowa, jak drzewa białe, przyjdą—u brzegu czarnej topieli się skłonią, odszukają nas—z gąszczu czarnego opłóćcą, pochwycą — na swych białych, nieśmiertelnych [rękach nad morzem najczarniejszym, jak nad nocą kruczą, uniosą: wyratują.

HELENA CEYSINGERÓWNA

MYŚL O TEM CO CHCESZ

1

Podczas krótkiego pobytu mego w Zielonce, schronisku dla czcigodnych weteranek cechu nauczycielskiego, poznałam osobę bardzo interesującą. Mniejsza o nazwisko.

Nazywano ją w całym zakładzie panną Klementyną.

Żywa, ruchliwa staruszka stanowiła pod pewnym względem wyjątek.

Nie narzekała nigdy.

Nie nudziła się nigdy.

Poczuwszy od razu wzajemną sympatję, prowadziłyśmy rozmowy bez końca.

Raz rzuciłam jej pytanie:

— Czy pani znała w Polsce ludzi tragicznych? U nas wszystko takie połowiczne, takie niedociągnięte. Każdą walkę prowadzi się tak słabo, ustępuje się tak łatwo...

— Czy znałam? — zamyśliła się panna Klementyna. — Może i znałam... Opowiem ci to kiedy w wolnych chwilach... bo to dłuższa historia.

Odtąd nalegałam wciąż na sympatyczną staruszkę o tę opowieść. Aż pewnego przedwieczera, gdy po starym parku szumiał zimny wicher jesienny i żółkłe tułacznie liście przeganiał z miejsca na miejsce, znalazł się nastrój odpowiedni.

W pokoju panny Klementyny było ciepło i zacisznie, na kominku trząsał wesoły ogieniek, a staruszka opowiadała:

„Było to pierwsze moje miejsce — mówiła — poprzednio rok cały pracowałam wprawdzie u krewnych, ale tego nie liczę. Do tego Zalesia, gdzieś w zapadłym kącie nad Szczarą, wieźli mnie od kolei szesnaście godzin. Kraj piękny, leśny, ale jakiś smutny i straszny.

Dostałam się między dziwnych ludzi i tak, mówię ci, patrzyłam na nich, jak na jakieś osobliwości z muzeum.

Teraz wiem, że należeli istotnie do najcenniejszych okazów polskiego męczeństwa, ale wtedy byłam ja jeszcze strasznie głupia, ot taka typowa gimnazistka rosyjska ze złotym medalem, a przytem czytelniczka pilna „Przeglądu Tygodniowego“, pozytywistka pewna siebie, trzeźwa, postępowca...

Najlepiej podobała mi się z nich babunia. Taką była jasna, pogodna zawsze, dobra, tak nawet do młodzieńczego śmiechu skłonna! Córka jakiejś „promienistej“ Zosi, czy Marylki, do której jeden z filomatów pisywał był wiersze.

I widzisz, ja myślę, że to z tamtej jeszcze epoki, padł na babunię Wazgirdową promień nieśmiertelnej pogody. Bo potem były w życiu jej wielkie tragedje. Była Konarszczyzna, rok 63-ci. Babunia kochała niegdyś... Szymona Konarskiego.

Wyobraź sobie, ja uczennica rosyjskiego gimnazjum pierwszy raz wtedy usłyszałam to imię... wtedy, z ust babuni dowiedziałam się o filomatach.

Nie miała mi tego za złe, tylko opowiadała, opowiadała bez końca, długimi wieczorami, gdy z robotą w rękę sadywałam w jej pokoju. Ze skrytek w biurczku dobywała wtedy pamiątki... jakiś wiersz, pono w więzieniu napisany przez męczennika, który komentowała w sposób przedziwny.

Nie uwierzysz, jak była piękna w starości, z tym swoim młodym entuzjazmem i młodemi łzami, które padały zawsze, równie gorące na skrawek chusteczki, skrwawionej podczas egzekucji.

Ta miłość nie przeszkodziła jej być najlepszą i najwierniejszą żoną. Konarski był poprostu bóstwem jej duszy, Chrystusem nowych czasów.

Potem o powstaniu. Straciła w niem pasierbą, który był, jak mówiła, najukochańszym jej synem, przeszła przez prześladowania, upokorzenia, zdrady, odstępstwa, konfiskaty i to wszystko nie odjęło jej złotej promienności ducha. Umysł miała bardzo bystry i dar opowiadania taki, że widziałas wszystko, o czym mówi. Czasem, w te wieczory przychodziło dwoje dzieci i usiadłszy w kątku na ziemi słuchało jej powieści. To byli moi uczniowie.

Daleko mniej lubiłam panią Marię, matkę tych dzieci. Nigdy nie było uśmiechu na jej twarzy. Poważna, blada, skupiona brała mały udział w życiu domowem, choć właściwie kierowała niem, ale tak jakoś, zdaleka.

Cały dzień w swoim pokoju, przy wielkim stole, zarzuconym zagranicznymi miesięcznikami, notowała, tłumaczyła, pisała. Dowiedziałam się później, że prowadzi korespondencję z wielu wybitnymi ludźmi we Francji, w Anglii, że tłumaczy naukowe dzieła, że drukuje je w Krakowie. Przez pewien czas, gdy cierpiała na oczy, czytywałam jej głośno i wtedy ona bardzo zrecznie, nie dając mi uczuć tego, dopełniała braki mego gimnazjalnego wykształcenia, wskazywała książki, które przeczytać powinienam, z przeczytanych kazała sobie zdawać sprawę... I to się już potem przyjęło. Zawdzięczam jej bardzo wiele.

A mimo to nigdy do niej zbliżyć się nie mogłam. Jakby stała po drugiej stronie głębokiej przepaści!

W tej chwili otworzono drzwi i służąca wniosła herbatę.

— „Przerwali nam — rzekła stara nauczycielka z niezadowolaniem w głosie. Nie lubię opowiadać przy jedzeniu. To przerywa mi pamięć.“

Piliśmy więc herbatę w milczeniu takim, że słychać było szelest suchych liści na drzewach. Ogień na kominku przygasał już, błękitniał, dokoła był spokój... Lubiłam te wieczory w Zielonce, zwłaszcza odkąd panna Klementyna zaprosiła mnie na swoje „recitale“. Tak tu nazywano złośliwie nieskończone długie opowieści, powszechnie zresztą szanowanej i lubianej staruszki.

Po herbacie wróciła panna Klementyna do przerwanej roboty włóczkowej i do dalszego ciągu opowiadania.

„Mąż pani Marii, Tomasz Wazgird najmniej zwracał na siebie uwagi. Milczący, pracowity, cały dzień w polu, w stodołach, oborach, w lesie, na rzece... nie narzucał się tu nikomu i nie miał żadnych wymagań. Wieczory spędzał przy rachunkach i korespondencji z kupcami leśnymi. Nie widziałam nigdy równie gospodarnego i pracowitego człowieka. Agłosu jego prawie słychać nie było.

Działo się to w kilka lat po powstaniu; majątek był zniszczony, wyczerpany kontrwójkami i „Tomek — powiedziała mi babunia — postawił sobie za cel życia utrzymanie ziemi i przekazanie jej dzieciom“.

(c. d. n.)

MAGDALENA SAMOZWANIEC

MARGARBINA DE BOIS DE BOULOGNE

(Groteska w 3-ch aktach).

O S O B Y:

Adzik Bujakowski.
Jego żona Wanda.
Profesor Puszczyc.
Antoni, służący
Panienka z magazynu.

Anaïs de Bois de Boulogne.
Marjan Hupczycki (przyjac. Adzika)
Pani Genowejczak — Kilińska.
Niemowa.
Państwo Wądołscy.
Dzieci p. Wądołskich.

AKT I.

Ulica w mieście. Latarnia, skwer, ławka. W głębi sklepy
Godzina 6 wieczór, koniec września. W kilku oknach światło
mrok fioletowy. Rzadcy przechodnie. Po ulicy wałęsa się bona
z dwojgiem dzieci. Ładna, ubrana z szykiem w byle co, wło-
sy krótkie, wzburzone. „Beauté du diable”. Dzieci przywołte,
w marynarskich ubraniach, jedno trzyma balonik czerwony. Wszys-
cy troje są zmartwieni i rozglądają się dokoła bezradnie.

AKT I.

FRANCUZKA (zatrzymując jakiegoś pana) Vous parlez français?
PAN (skwapliwie). Non, Mademoiselle. (odchodzi zapobie-
gliwie).

FRANCUZKA Mon Dieu! (załamuje ręce).

DZIECI pily drewniane). My chcemy do domu, Mademoiselle.
Do domu. Myśmy już dosyć długo tu mieszkali! Chcemy do
domu! Mama! Do Mamy!

FRANCUZKA (do innego znowu Pana, tym razem Adzika Buja-
kowskiego, który uprzejmie zmiata do domu, śpiesząc się,
bo już późno) Monsieur, vous parler français?

ADZIK (zatrzymuje się i mówi sardecznie). Mówiłem, ale już za-
pomniałem. Ale za to po polsku mówię doskonale. Może
się jakoś porozumiemy, proszę Pani. A o co chodzi?

FRANCUZKA (ze słodyczą). Pan tak grzeczny powiedzieć, gdzie
mieszka Państwo Wądołscy.. Ja zapomniała ulicę, nikt nie
chce powiedzieć, ja nie wiem co zrobić...

ADZIK (myśląc z natężeniem). Państwo Wądołscy? Czy to może
ci o to on taki gruby, a ona taka chuda? Chodzą z psem?

FRANCUZKA (z radością). Tak, tak, c'est ça! On taki (pokazuje)
gruby, a ona taka (pokazuje) gruba, i nie mają psa!

ADZIK (zakłopotany). No to nie to... hm... A jak wygląda kamie-
nica, mniej więcej?

FRANCUZKA. Mniej więcej.. Taka duża, duża dom, balkony...
wychodzi na ulicę...

JEDNO Z DZIECI (głupio). A mamusia ma w pokoju parasolik
chiński!

DRUGIE DZIECKO (inteligentnie). A od sąsiadów wczoraj uciekł
kanarek!

POPREDNIE DZIECKO (z krzykiem). My chcemy do domu.

ADZIK (pocziwie). Zamiast płakać, zastanówmy się co zrobić.
Więc pani stanowczo nie pamięta.

FRANCUZKA. Jak ja mam pamiętać? Ja przyjechała przedwczoraj
z Paryża. Que voulez vous? Ja tu nic nie rozumie.
Pan posłucha — voilà: Ja tu przyjechała (wzdycha) po
stracie narzeczonego i jak się nazywa... ojca.

ADZIK (zmartwiony): I ojca?

FRANCUZKA. I mnie okradli. Mnie bolszewicy zabrali w pociąg
majątek ziemski (z godnością). Ja nigdy nie myślała, że
ja będę bona! Ja nigdy nie pracowałam! U nas w domu nie
wolno było mówić to słowo! O, jakie to ręce: (pokazuje).
C'est de la soie, on n'en voit pas chaque jour!

ADZIK (wzruszony). Biedactwo. Taka młoda, a taka — taka
ładna.

FRANCUZKA (z goryczą). Oh, vous savez, c'est dur, la vie! Oh!
To ciężka rzecz. życie.

ADZIK (dobry, jak anioł). No tak, wiem, ale bywają rzeczy cięż-
sze. Niech Pani się uspokoi! Niech Pani powie więcej —
ja słucham, słucham z całego serca!

FRANCUZKA (przybierając różne modne pozycje). Kiedy Pan nie
uwierzy. A ja mówię prawdę, jak moją mamą kocham! Voilà!

ADZIK (z godnością i prostotą). Skoro Pani mówi, wierzę.

DZIECI. No, my chcemy do domu. Tam jest teraz kakao!

FRANCUZKA (surowo) Silence les gosses! Więc ja Panu powiem
całą prawdę. Wielki sekret. Ja tego nikomu nie powiedziałam
jeszcze: ja się nazywam de Bois de Boulogne. Pan nie
słyszał o la grande famille de Bois de Boulogne sur Mer?
Anaïs mi na imię. Marquise. Pan rozumie? (pokazuje pal-
cem na siebie) Marquise.

ADZIK (ciepło, kłaniając się) Tak, tak, w rzeczy samej, margra-
bina, rozumiem.

FRANCUZKA (skromnie). Nazywają mnie Nanette.

ADZIK (zamyślony). Skoro Pani tak mówi, wierzę. Dlaczego
Pani miała mi to mówić, gdyby tak nie było. No nie? —
Cóż za nieszczęście. Co za zmiana losu. Biedna margra-
binka. (Margrabina to to samo, co markiza, po polsku).
Bardzo, bardzo jestem zaszczycony (kłania się). Nazywam
się Bujakowski, jestem urzędnikiem banku. Tylko urzęd-
nikiem, tylko banku.

FRANCUZKA (łaskawie podając mu rękę do pocałowania). Żeby
nie mój mal'heur, nie byłabym Pana nigdy poznała. Pierw-
sza urzędnik (employé, prawda?), który poznałem w moim
życiu. Była tylko zawsze w towarzystwie: hrabiowie, duches-
sy, princessy, papież... Moja mama ma wielki hotel na rue
de la Paix... un grand hotel.

ADZIK. Własny grandhotel... Wierzę, wierzę. Tak. To dziwne dzie-
je, ale prawdziwe... ale prawdziwe. Dziwne, ale prawdziwe..
To się zdarza. Ale poco margrabina u diabła (przepraszam)
przyjeżdżała do Polski?

FRANCUZKA. Partie de plaisir. Ja chciała się rozerwać po stra-
cie narzeczonego. Ja dostała melancholji, więc mnie do-
ktorzy tu wysłali...

ADZIK. Nie może być! Dziwni, dziwni doktorzy, ale widocznie
dobrzy...

FRANCUZKA. I mnie Bolszewicy wyrzucili z pociągu.

ADZIK (zdziwiony). Bolszewicy? Jak, gdzie, na granicy rosyjskiej?
Nie rozumiem?

FRANCUZKA (z niesmakiem). Nie lubię sobie przypominać tych
okropności. Oh, la nuit atroce! Oh!... Zabrali mi mój passe-
port diplomatique, zabili mi lokaja, co wiózł za mną te ne-
kufry, drugim pociągiem. Toutes mes petites affaires! Bi-
joux! — No i teraz — widzi Pan: z taką twarzą, takie ręce:
Bona (wzrusza ramionami). Wszyscy krzyczą: Bona! Ah ça,
(kryje twarz w rękach, szuka chustki).

ADZIK (ciepło). No, nie martwić się droga margrabinko. Cóż z tego.

DZIECI (ostatkiem energji). My chcemy, do domu.

ADZIK (dalej). Cóż z tego, że bona? Myśmy mieli nawet królową
Bonę, wprawdzie nie do dzieci, ale do króla, i dobrze było...
także francuzka. A tymczasem chodźmy, będzemy szukać
tego domu, aż znajdziemy.

DZIECI (głośno). My chcemy zaraz do domu! Już do domu.
 ADZIK (zdenerwowany). Do domu smarkaczu, do domu, ale gdzie? Łatwo to krzyczeć „do domu”, to każdy potrafił! Nie pamiętacie ulicy?
 JEDNO Z DZIECI. Ja pamiętam, że Mickiewicza, ale nie pamiętam jak na imię!
 ADZIK. A wiecie, że to dobre! A to bęben, żeby zaraz nie powiedzieć! Ulica Mickiewicza!
 DZIECI. A jak na imię?

ADZIK. Adama, drogie dzieci, Adama Mickiewicza. No, to teraz już łatwo dojdziemy, to bardzo blisko, no chodźmy. A... a... co to?
 (Nadbiega Pan Wądolski z żoną, bardzo rozjuszeni, gestykulując i są czerwoni. Antypatyczne figury)
 DZIECI. Mamusi! tato! (rzucają się ku nim).
 PANI WĄDOLSKA. (przez pince-nez surowo i oschle). A nareszcie. Co mademoiselle wyprawia? Co to jest? Ósma godzina! Czekamy, szukamy. Co to za flirty na ulicy! Co to za manjery? (c. d. n.)

MARJA KUNCEWICZOWA

JEDNO SPOJRZENIE

(Szkie powieściowy)

5



Miesiąc nie bywałam na Koszykowej, bojąc się oczu Krystyny. Aż kiedyś w parku spotkałam Henryka w wiadomym towarzystwie. Szli naprzeciw wąziutką aleją — wypadło się przywitać. Zjadliwy gniew zjeżył mi serce — zostałam z nimi, żeby ukłuć, nauręgać i odejść. Ale Sonia kroczyła, jak gdyby w nimbie lenistwa — niektóre fosforany wydają takie mdłe białe światło. Więc cały mój impet zgnuśniał odrazu na galarecie w promieniach jej rozkładu. Patrzałam: sposób noszenia głowy nad miarę kwiatowaty, usta ciężkie od śliny i chód zmęczonego zwierzęcia. Zdawało się, że słowo, zanim spłynie z warg, zastygnie w kroplę syropu — powolne i clikowe. Oglądała sennie mój kapelusz, drzewa i twarze przechodniów. Głowę bym dała, że po spojrzeniu zostawał wilgotny ślad. I bardzo piękna była ta odrażająca dziewczyna.

Henryk manifestacyjnie wrócił do przerwanej rozmowy. Słuchając, płatałam się obok.

— Więc wtenczas, wie pani, w tym plugawym obozie skrzypce Serba były jedynym sposobem korespondencji ze światem. Każdy z nas (było tam studentów leodyjskich 300 sztuk — przedstawiciele sześciu antyniemieckich nacyj), otóż każdy z nas do melodyjek Nincic'a dorabiał w myśli własny tekst; potem ta piosenka, już jak gdyby przez każdego usynowiona, rozszczepiała się na dzwięczne pasma i po trzystu drutach pędziła do trzystu miłości. Rozumie pani? Rozumiałam dobrze, że jedna z trzystu wersji Nincic'a pędziła wtenczas do Krystyny.

Sonia podniosła w górę długorzęse oczy i uroiła jedno lepkie słowo: „Tak”.

— Wszyscyśmy wtedy byli muzykalni, bośmy byli samotni i głodni. Ale niektórym pozostał i potem nałóg muzycznych korespondencji. Ja naprzykład najgoręcej oświadczam się na fortepianie... (Sonia ustami uczyniła grymas pełen wdzięku). I dlatego kobieta, która nie czuje muzyki, jest... — zapienił się nagle — właściwie nie może być no poprostu stacją odbiorczą... pewnych najważniejszych drgnień.

Urwał i chwycił Sonię pod rękę.

Poszli prędzej, ja z nimi. Henryk najwidoczniej sobie samemu zrobił rewelację w zdaniu dopiero co przebrzmiałem i cały jeszcze drżał z wrażenia.

Wsiadli do samochodu. Widziałam, jak całował rękę Soni; wierzył z pewnością, że całuje serce sonaty.

W pół roku później Heniowie się rozeszli. Wkrótce po moich zaręczynach. Wiadomość ta spadła, jak grad: ledwie wykiełkowane szczęście przypadło do ziemi w tysiącnych zestraszonych żdźbłach. Nadewszystko dał się we znaki niepokój: wydało mi się, że gubię ślad Henryka i że to jest katastrofa. Osłupiała, usiłowałam rozumieć, do czego potrzebny mi jest Henryk. Jednocześnie różowa twarz Krystyny była majakiem nie do zniesienia.

Kiedy tak cierpiałam bezradnie, przyszła do nas Krysia. Długo rozmawiała z matką o miedniczkach nerkowych Jagi, o posadzie w banku, o sprawach mieszkaniowych. Przed odejściem zaszła do mego pokoju.

Siedziałyśmy, splecione dłońmi, patrząc w okno. Nad biurkiem miałam fotografię z Sitańca. Krystyna odwróciła głowę i oczy jej weszły w sitaniecki salon. Zsunęła brwi i falistemi, jak u dziecka wargami, szepnęła:

— On już wtenczas zapowiadał smutne rzeczy przez tego Rachmaninowa...

Henryka zobaczyłam w Zachęcie. Stał przed rzezbą kobiecą, klęczącą na cokole — przed nagą, kamienną dziewczyną. W nabożnym lęku jej dłoni, w pokorze ramion i w giętkości karku wyczułam tyleż chęci uczczenia Boga, co zadowolenia kaprysów kochanka. Nimfa modliła się nagością i kochała z nabożeństwem. A marmur pachniał ziemią, zupełnie, jak ogród w Sitańcu. W piersiach załopotwały mi jaskółki, wiedziałam napewno, że w sali jest pełno nieznanach biegających słów. Mój narzeczony powiedział głośno jakieś najśliczniejsze zdanie, ale to nie było to nieznane — koniecznie potrzebne. Wtedy właśnie Henryk drgnął, podając mi swoje oczy, jak gdyby dwoje powitań. Przyjęłam je doskonale — zmieściły się bez reszty między memi rzęsami, bo były cieniem tamtego spojrzenia. I zaraz przyszła Sonia. Stanąwszy z tyłu, położyła rękę na ramieniu Henryka. Zobaczyłam, jak palić umiała ta ręka: kuzyn stanął w ogniu i, zanim dłoń uściśnął, cały już zgorzał na próchno.

Często teraz odwiedzałam Krystynę.

(Z narzeczonym Zbyszkim łączyła mnie miłość uroczą, leśna — ni to łani z jeleniem. Po krakowskim kwietniu przyszedł czerwiec łogaty i jedrny. Nie próżnował ani jeden nerw, ani jedna myśl nie usychała w nasieniu — stać mnie było i na rozkosz i na udrękę).

Przyszedłszy na Koszykową, cierpiałam do krwi, pieszcząc jednocześnie na dnie serca najgorętsze szczęście.

Jagusia chorowała.

Zrobiła się prawie płynna, niczem wosk, i strasznie kapryśna. Krystynę trzymała na nogach wielorakość bólów: jeden truć drugiem. Odkąd poznałam, w obliczu sitanieckiej fotografii, że żona Henryka była „stacją odbiorczą”—ich zapoznane szczęście wyglądało ku mnie, rzekłbyś wyspa z morza łez. Dałam znać Henrykowi, że dziecko bardzo chore. Przyszedł nazajutrz, obładowany zapawkami i przez tydzień codziennie odwiedzał Jagusię.

Krystyna koniecznie chciała męża odzyskać. Pracowała na to bohatersko, jak rycerz; pokornie, jak służąca. Ze swojej muszli wyszła cała nawierzchnia i mówiła do Henryka bez wstydu. Rzeczy, których nigdy w wierszu nie napisała jej siostra, ani Henryk nigdy nie wygrał, nie wygadał, nie wyszeptał... Obsługiwała go z nieśmiałością.

Kiedy przychodził do domu, dom ten zasklepił się wokół niego, niczem miódowa komórka. Służąca podawała w czepku, stół aż pachniał od starań szczęścia kobiecych rąk, Jaga ze swoją chorobą wsiąkała gdzieś w kulisy.

Henryk zadziwiał mnie naturalnością. Jadł, pił, pełen galanterji i spokoju. We własnym — a już przecie niczym — pokoju palił papierosa z dawną miłą twarzą. Jednak to był obcy człowiek: przynosił ze sobą zapach innego mieszkania.

Po tygodniu dziecku się polepszyło — Henryk przepadł. Nie zauważył wcale, że Krystyna, zawsze dotąd niema na podobieństwo łabędzia, teraz nareszcie, krwawiąc, śpiewa. Śpiewa w niebogłosy jedyny—ostatni raz.

Przestał Henryk łaknąć „muzycznych korespondencyj”, bo ręka, którą uwielbił, jako serce sonaty, stała mu się szponem, wbitym na śmierć pod siódme żebro. Uwielbił z kolei ranę, wydartą przez szpon, rozmiłował się w bólu i ogłuchł, oślepl, zamilkł na wszystko, co nie było klaskaniem jedynych ptasich ust.

W tym właśnie czasie zaczęło mi się zdarzać, że płakałam, ledwie zamknawszy drzwi za Zbyszkim. Niedosyt, niby rżesa, zarastał wody miłości. Za płytkie były pocałunki, nieszczęsne wszystkie słowa i za ciasno, za duszno wszędzie z najmiłszym chłopcem. Brakowało powietrza naszemu kochaniu. Narzeczony wyjechał na parę dni; szłam do domu, gdzie go nie miałam zastać o zwykłej porze. Znowu była wiosna i słońce przed zachodem pływało w niebie łagodne, jak wielki kaczeniec. Zdjęła mnie szalona radość, że jeszcze nie wiem nic złego, że wszystko jest dzisiaj, iak zaszło w noc wczorajszego wieczora. Usilnie podkręcałam radość, niczem płomień w lampie, byle nic nie uронić z uroków tej godziny. Powoli, powoli weszłam na schody.

W salonie siedział Henryk. Nie pokazywał się u nas dawno. Teraz rozmawiał z matką, wertując nerwowo Peter Pan'a. Twarz miał podobną do karty, z której deszcz zmył napisane słowa. Matka,

zgrzyziona, wkrótce wymknęła się z pokoju—zostałam sama z kuzynem.

Myślałam: dlaczego Henryk przyszedł? i jakie nieznośne będą teraz minuty. Ale Henio spytał o Zbyszka, a potem, nie słuchając odpowiedzi, gapił się na wszystkich Wyczółkowskich po kolei; wreszcie zagadał poufnie:

— Bardzo mnie interesują zakochani. Ciekaw jestem, czy znalazł się taki, co, warując z miłości, pomyślał sobie: jak to dobrze, że ta kobieta ma takie właśnie, a nie inne włosy—łatwiej mi będzie odpocząć, patrząc na nią... Każdy przecie wtedy myśli: gdzieby z nią uciec, jaką jeszcze wynaleźć rozkosz, żeby bardziej oszaleć?

Patrzył na mnie z gorzkim triumfem.

Ziębłam.

Henryk już powiedział mi złą nowinę. Bo gdzie ja się miałam podziąć ze Zbyszkim? co mogłam wynaleźć nad miłość, żeby bardziej oszaleć? Wszystkie kraje są takie same i na całym świecie niema ludzi, którzyby potrafili kochać nieludzko. A jednak nie chciałam przy Zbyszku odpoczywać. Cóżby więc z nami było za miesiąc, skoro już wtedy sercom brakowało tchu?

Spojrzałam na Henryka z niechęcią. Czy po to udręczył Krystynę i napasł myślami Sonię, żeby mnie odpędzić od Zbyszka?

Palił na balkonie; wrócił cały rudy od blasku i mówił dalej:

— Zdaje się, że tutaj, ici bas—bardziej oszaleć nie dasz rady... Ano nic... Przeczekajmy tę ziemską freblówkę.

Starannie gasił papierosa. Kiedy ostatnia smułka zwinęła się w kółko na popielnicy, rzucił głową po aktorsku i z brawurą podał mi rękę:

— Co mała? Przeczekamy, i jeszcze kiedyś na łonie Przedwiecznego oszalejemy po naszymu we dwoje?

— Może we troje...—dodał po chwili, a z oczu wyjrzała mu Krystyna.

Zostałam, jak wdowa, bo Henryk zabrał mi Zbyszka.

Jednem szarpnięciem zerwałam narzeczeństwo. Ale chwila rozstania nie chciała się skończyć: tego krzyku, który uwiązał w gardle, kiedy Zbyszek zamykał drzwi za sobą, nie mogłam wyrzucić z krtani. Mijały dni, tygodnie, najmiłszy dawno był o sto mil od Warszawy, a ja żegnałam go jeszcze. Inne chwile nie nadchodziły—tamta nieprawdopodobna stanęła wprost nie było widać zza garbu wiedzmy; gdziekolwiek wyciągnęłam rękę—raniła kostropata obrzydłość. Twarz matki nawet—najmiłościwsza—wydawała się łbem wilczy. Teraz nareszcie żal (ze sprawami miłości zawsze nierozdzielny) buchnął falą, a myśli pływały na jego powierzchni, niby rozpierzchłe sprząty z domu, który zabrała powódź. I żadnej nie było nadziei, bo szaleństwo bólu lepiej syciło mój głód, niż kochanie. Za Zbyszkim biegły słowa ślizkie od łez—nie zawołało go żadne.

(c. d. n.)

Z. ZAWIŚSZAŃKA

CÓRKA BOGA

3



ajdობitniejszym tego dowodem jest „święta” Inkwizycja, ta straszliwa plama na honorze Kościoła. W ciągu kilku wieków palono żywcem bezskrupułów w imię prawa i religii ludzi przeważnie niewinnych, często zanych i wybitnych, dlatego tylko, że inne mieli przekonanie albo, że ich

ktos obwinil o stosunki z czartem. Sprawiedliwość ówczesna stale posługiwała się torturą, jako środkiem wymuszania zeznań — co niedziwilo, ani oburzało nikogo. Lecz i poza tem ewangeliczna miłość bliźniego nie przenikała ogółu w większym stopniu niż obecnie. Przeciwnie — tamtym nieporównanym naturom trudniej jeszcze było o wszelki altruizm i abnegację.

A przecież owa ogólna, niezachwiana wiara w świat zagrobowy, owa szczerą, choć naiwną miłość do Jezusa, Marii i Świętych — zapobiegły z pewnością wielu występkom, łagi dziły znacznie sroższą żywiołową namiętność, stając się pierwszą szkołą ludzkości i cnót społecznych.

Los poddanych, zależnie ściśle od serca i sumienia panów, nie wszędzie był zły — a w miarę postępów kultury układał się coraz znośniej. Troska o los swoich włości była obowiązkiem religijnym, spełnianym rozmaicie; z tego układu stosunków wynikały czasem i kropne tragedje, czasem patryarchalne sielanki. Lecz już w XI w. papież obiecuje wolność każdemu, kto wyruszy na podbój Grobu świętego; od tej pory zaczyna się bardzo powolny, lecz stały zanik poddaństwa w krajach zachodnich.

W większych przerwach między wojnami, w czasach dobrobytu, rozwijają się pięknie instytucje humanitarne, utrzymywane przez władze parafjalne, municypalne (np. miejskie biura dobroczynności), a głównie przez bractwa miłosierdzia, silne wówczas i ruchliwe. Pod koniec Średniowiecza ruch ten, porzuty w XI w., dosięga rozmiarów imponujących, pokrywając całą Francję gęstą siecią szpitali (pod zarządem kleru oczywiście), które służyły zarazem za gospody dla licznych wtedy pielgrzymów do miejsc świętych, za przytułki ubogich, przelazów i wszelkiej biedoty. Miasto Tuluza posiadało 7 takich schronisk, Arras aż 15 — co zaś naidziwniejsza: każda niemal wieś miała swój szpitalik¹⁾!

Biskup Adalhéron w swych pismach z XI w. dzieli społeczeństwo na kler, szlachtę i nędznych niewolników, którzy żywią i obsługują tamte klasy wybrane. Lecz już w XII i XIII wieku zaczyna się rozwijać odrębny „stan trzeci” — ludność miast, trudniąca się rzemiosłami i handlem.

Pracę tę ujmują w ściśle ramy organizacja cechowa, tak charakterystyczna dla owych czasów. Choć oparta na bezwzględnej nieraz wyzyskiwaniu sił młodzieży, daje ona jednak zrazu każdej zdolnej jednostce możliwość wybicia się na stopień „mistrza” i uzyskania własnego warsztatu — otacza przytem opieką ogół pracowników, tworząc nawet rodzaj kas wzajemnej pomocy.

Wobec prymitywnych komunikacji, ideałem przemysłu jest zbywać wszystko na miejscu, wprost do rąk konsumentów. Handel operuje głównie towarami zagranicznymi, posługując się przeważnie dro-

gami wodnymi. W miastach istnieją hale produktów obcych; jarmarki międzynarodowe (np. w Szampanji w XIII w.) wchodzi w tradycje. Kupcy tworzą korporacje, rządzone silnie przez t. zw. „królów”. Rola ówczesnego handlu — podobnie, jak wędrownych studentów, mnichów, pątników, żebraków polega też na roznoszeniu nowin, na zbliżaniu w ten sposób krajów odległych. Kurjerzy dworów królewskich i książęcych, które posiadają w ważniejszych centrach swe agencje informacyjne — galopując wzdłuż głównych traktów, sięgają po drodze wieści, witani chciwiej znacznie, niż dziś u nas są one. Przestrzeń między Rzymem a Paryżem przebywano w 15 — 20 dni²⁾. To wszystko zastępuje do pewnego stopnia prasę.

Życie umysłowe, skoncentrowane najpierw wyłącznie w klasztorach, przesiało stamtąd nazeewnątrz i udziela się coraz szerzej. Wychowanie młodzieży prowadzi stale Kościół, w całym szeregu swoich szkół i szkolek — aż do uniwersytetu paryskiego (Sorbonny), który przoduje Europie od XII do końca XIV wieku. Nauka podporządkowuje się teologii, lecz uznaje inną także nowarę: Arystotelesa, z którego twierdzeń, przyjętych bezkrytycznie za pewniki, snuje dedukcyjnie wnioski. Nad myślą Średniowiecza ciąży zasada autorytetu, krępująca twórczość, włączająca wiedzę w ciasne i sztywne ramy. Zasadniczą nieufność do zmysłów, pogarda dla ciała i wszelkich spraw materji, wykluczają jakiegokolwiek eksperymentowanie, a więc i racjonalne poznawanie praw natury. W tych warunkach nauki przyrodnicze nie rozwijają się wcale, nauki ścisłe tkwią w przesadach, astrologji i alchemji, filozofia, choć przytłoczona metodą scholastyczną, zapatrzona niewolniczo w pismo święte i greckie wzory, ma przecie chwilami przebłyski światła i postępu, rozkwitając zwłaszcza w pismach św. Tomasza z Akwinu. Kronikarstwo, prowadzone pracowicie, zwłaszcza przez duchownych, tworzy cenny stopień wstępny do nauki historii.

Lecz daleko większe znaczenie dla oświaty powszechnej ma sztuka. Wieki średnie obcowaly z nią jakoś bliżej, bardziej poufale, niż my — ona była żywiołem ich życia, powietrzem, którem oddychano nieświadomie. Najpotężniejszym tego dowodem są dwa wspaniałe style, tworzone przez ówczesną architekturę: romański i gotycki — zdumiewające nas do dziś swym majestatem. Na nic podobnego nie zdobyły się już dalsze stulecia.

Niezliczone posągi i malowidła, zdobiące wnętrza świątyń, a czerpane z wielkiego bogactwa tematów religijnych, mówiły ogółowi prostaczków o rozkoszach raju i grozie piekła, o dziejach biblijnych, cudach, o budującym życiu świętych, o naukach i męce Zbawiciela o środkiem miłosierdzia Jego dziewiczej Matki. Było to fakty plastyczne nauczanie najszerzych rzesz — mądre wyrabianie zarazem smaku i pojęć moralnych.

Podobnie działała sztuka słowa, też dostępniejsza masom, niż w początkach czasów nowożytnych — zdemokratyzowana przez kazania, tę pierwszą szkołę prozy, przez śpiewaków i baidarzy wędrownych, obnoszona po zamkach przez trubadurów.

(c. d. n.)

¹⁾ Lavissee — Histoire de France.²⁾ G. Hanotaux, „Jeanne d'Arc”.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

DONIOSŁE ODKRYCIE NAUKOWE

Dowiadujemy się z pism angielskich, że dr. Alicja Evants, asystentka laboratorium chemicznego Departamentu Higieny społecznej w Waszyngtonie, dokonała odkrycia, które mieć będzie niewątpliwie bardzo doniosłe znaczenie dla współczesnej medycyny. Prowadziła ona mianowicie już od dłuższego czasu badanie naukowe celem wykrycia zarazki, powodującego chorobę śpiączki. Badanie to po kilku latach mozolnej pracy zostało wreszcie uwieńczone pomyślnym wynikiem. Sfery lekarskie w Ameryce są bardzo zainteresowane odkryciem panny Evants i zamierzają przeprowadzić na szerszą skalę badania kliniczne, mające stwierdzić praktyczne znaczenie tego odkrycia dla medycyny.

STUDJA WYŻSZE KOBIET WE FRANCJI

Liczba studentek na uniwersytetach francuskich zwiększyła się znacznie w przeciągu ostatnich lat 10-u. Według statystyki urzędowej ogólna ilość studentów we Francji w roku szkolnym 1914—15 wynosiła 31,791, studentek zaś na wszystkich uniwersytetach francuskich było zaledwie 2,328. Obecnie, po latach 10-ciu, t. j. w ubiegłym roku szkolnym 1924-25, ilość studentek wzrosła do 7,786 w stosunku do 36,575 studentów. Co się tyczy przedmiotu studiów, to największą ilość studentek zapisana jest na wydział historyczno-filologiczny. Następny co do liczebności jest wydział medyczny, natomiast najmniej interesują się kobiety sztuką, gdyż wydziały i akademie sztuk pięknych mają stosunkowo najmniejszą ilość słuchaczek.

NOWA KLĘSKA SPOŁECZNA

Amerykańskie pisma kobiece zajmują się omawianiem niezmiernie smutnego zjawiska, które zaczyna przybierać ostatnimi czasy rozmiary wprost zastraszające. Nową tą klęską społeczną jest wciąż wzrastająca w Stanach Zjednoczonych ilość dzieci nieślubnych. Charakterystycznym przytem jest fakt, że matki tych dzieci rekrutują się przeważnie z pośród dziewcząt w wieku bardzo młodym, bo od lat 16 do 20. Amerykańskie stowarzyszenia kobiece starają się przeciwdziałać tym smutnym objawom upadku moralności społecznej przez gorliwą propagandę w kierunku etycznym. Zdaniem jednej z najwybitniejszych działaczek społecznych winę w większości tych smutnych spraw przypisać należy starszemu pokoleniu. W żadnym z krajów europejskich niema takiego rozdzwiku, takiej odrębności zainteresowań pomiędzy rodzicami, a dziećmi, jak w Ameryce.

Matka nie bierze prawie żadnego udziału w życiu córki; z chwilą gdy ta ostatnia dorasta i zaczyna zarabiać na swe utrzymanie, stwarza ona sobie, nawet mieszkając jeszcze pod dachem rodzicielskim, swoje własne zupełnie odrębne życie, do którego matka nie wgląda wcale i o którym najczęściej nic nie wie. Ta zbytnia samodzielność młodych dziewcząt amerykańskich połączona z brakiem zasad moralnych, których im w domu wpoić nie umiano — staje się najczęściej powodem ich zguby.



ZDOLNOŚCI LINGWISTYCZNE KOBIET

Uczony Francuski Francisque Vial przeprowadził badania nad zdolnościami lingwistycznymi dziewcząt i chłopców. Wynik tych badań potwierdza ogólnie rozpowszechnione mniemania o łatwiejszym przyswajaniu sobie języków obcych przez dziewczęta. Odznaczają się one naogół znacznie lepszą pamięcią w tym kierunku, niż chłopcy, łatwiej przyswajają sobie akcent i wymowę cudzoziemską, a przytem — co najważniejsze — okazują o wiele więcej pilności i uwagi. Profesor Vial utrzymuje, że uczennice francuskie przewyższają znacznie uczniów zdolnością ześrodkowywania uwagi na przedmiocie wykładu i że temu właśnie przypisać należy szybszy ich postęp w naukach.

CZYSTOŚĆ — PRZYWILEJEM PŁCI NIEWIEŚCIEJ?

Sprawozdanie doroczne Głównego Inspektoratu Fabrycznego w Anglii za rok ubiegły zawiera następującą ciekawą uwagę:

„Przy rewizji sanitarno-higienicznej w izbach ambulatoryjnych utrzymywanych przez fabryki, stwierdziliśmy naogół zupełnie zadowalającą czystość i porządek. Ilość izb brudnych i źle utrzymanych była stosunkowo bardzo nieznaczna, a po zbadaniu przyczyn nieporządku, okazało się, że piecza około utrzymania czystości w tych izbach powierzona była personelowi męskiemu.” Ocierając się na powyższem spostrzeżeniu jedna z fabrycznych inspektorek pracy, pani Bridge zamieściła również artykuł, w którym stwierdza wyższość personelu sanitarnego kobiecego nad męskim pod względem umiejętności zachowania porządku i czystości. „Jednem z najlepiej utrzymanych ambulatoriów, jakie zdarzyło mi się widzieć w przeciągu mojej kilkunastoletniej pracy inspektorskiej — pisze pani Bridge — była duża sala, której wyłączną obsługę stanowiła jedna wykwalifikowana sanitariuszka z wyższem wykształceniem. Młoda ta dziewczyna utrzymywała samą, bez niczyjej pomocy, wzorową czystość na sali, własnoręcznie szorowała podłogi, myła wszystkie przyrządy i t.d. — a poza tem udzielała porad higieniczno-sanitarnych przecietnie około 4-5 tysiącom osób tygodniowo! Pokażcie mi mężczyznę, któryby potrafił uczynić to samo! Mojem osobistym zdaniem nawet najbardziej wykwalifikowany w swym fachu sanitariusz, już przez to samo, że jest mężczyzną, nie potrafi nigdy utrzymać należytej czystości w powierzonych sobie izbach ambulatoryjnych.”

Artykuł ten wywołał zrozumiałe oburzenie wśród męskiego personelu sanitarnego, który zaprotestował przeciwko takiemu uogólnianiu zjawisk na podstawie faktów sporadycznych. Jeden z polemizujących z wywodami pani Bridge sanitariusz zarzuca jej, że nie zwiędzała ona śnać nigdy okrętów, gdzie utrzymanie porządku powierzone jest przecież wyłącznie rękóm męskim — a gdzie wszystko, aż lśni od czystości. To samo się dzieje w koszarach i szkołach wojskowych i t. p. „The Woman's Leader”, zamieszczając wiadomość o tej polemice, zdaje się raczej przechylać na stronę niesłusznie oskarżonych o brak zamięłowania do czy-

stości mężczyzn, twierdząc, że punkt ciężkości zagadnienia leży tu nie w jakiejś organicznej niezdolności męskiej połowy rodzaju ludzkiego do wykonywania robót tak prostych, jak mycie, szorowanie i ścieranie kurzu, lecz poprostu w zakorzenionem od wieków mniemaniu, jakoby te czynności mogły i powinny być wykonywane jedynie przez kobiety. Jest to oczywiście pogląd bardzo wygodny dla „panów świata”, tem niemniej potrafią oni, gdy ich okoliczności do tego zmuszą, sprzątać i szorować, a nawet prac, wcale nie gorzej od kobiet.

NIESŁUSZNE OSKARŻENIE.

„Vox populi” przypisuje kobiecie cechę gadatliwości, w porównaniu z rzekomą wstrzemięźliwością w słowie, jaka ma być przywilejem mężczyzn. Uczni jednak, których nie odstrasza żaden aksjomat, choćby najbardziej popularny, przeprowadzili badanie i w tym kierunku, i oto — rezultat tych badań wykazał fakt wprost odwrotny!

Mężczyźni mówią naogół więcej od kobiet, a pozatem mówią szybciej. Jeden z uczonych psychologów francuskich twierdzi, że wypowiadają oni przeciętnie o 4 słowa na minutę więcej, niż kobiety. Pochodzi to stąd że skala ich zainteresowań jest — normalnie biorąc — o wiele obszerniejsza. Przeciętna kobieta koncentruje się bardziej na sferze domowej i rodzinnej, dzieciach, gospodarstwie, kwestiach toaletowych i t. p. Mężczyzna zaś zajmuje się, poza swymi osobistymi sprawami, jeszcze i całym szeregiem zagadnień natury ogólnej, przedewszystkiem zaś — polityką i interesami finansowymi, w których to kwestiach kobiety rzadko kiedy zabierają głos.

Inny znów psycholog, przeprowadzając studia porównawcze nad gadatliwością różnych narodów europejskich, twierdzi, że w krajach północnych, zamieszkałych przez ludność rasy germańsko-skandynawskiej i anglo-saksońskiej, a więc w Szwecji, Holandji, Niemczech, Anglii i t. d. — bardziej wstrzemięźliwymi w mowie są mężczyźni, w krajach zaś południowych o ludności romańskiej, — Włoszech, Hiszpanji i południowej Francji, kobieta mniej jest wymowną, a zato szczególniejszą gadatliwością odznaczają się mężczyźni.

Ciekawem byłoby uzupełnić te studia porównawcze zbadaniem stosunków, panujących wśród ras słowiańskich!..

ORYGINALNY KONKURS PIĘKNOŚCI

Jeszcze jeden konkurs piękności — oczywiście w Ameryce. Ten jednak różnił się od innych tem, że kandydatki nań musiały być w wieku dojrzałym. Warunek stanięcia do konkursu opiewał wyraźnie: „Ukończony rok pięćdziesiąty”. Kandydatek znalazło się niemało, bo aż 728 (rzecz się działa w niewielkim mieście prowincjonalnem). Z tych otrzymało nagrody za doskonale zakonserwowaną urodę — 127. Pierwsza nagroda zaś musiała być rozdzielona pomiędzy dwie kandydatki, które obie tak olśniły sędziów swą urodą, że nie mogli na żadną stronę przechylić szali zwycięstwa.

KOBIETA W PARLAMENCIE IRLANDZKIM.

Podczas ostatnich wyborów, dopełniających do parlamentu irlandzkiego, obraną została pierwsza kobieta — posłanka. Jest nią pani Dora Chichester. W senacie irlandzkim zasiadają już 4 kobiety. Z. B.

NOWA PLACÓWKA

Sygnalizowane od wczesnej jesieni otwarcie Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higienistek w Krakowie, na skutek długotrwałej gruntownej przebudowy budynku, nastąpiło dopiero d. 12/XII u. r.

Świeżo przyjęte uczennice tej szkoły, w liczbie 20-tu, zjechały się na dzień przedtem z różnych stron Polski i doznały zaraz na wstępie niesłychanie miłego wrażenia na widok swego nowego domostwa.

Przedewszystkiem klatka schodowa — obszerna, widna, ogrzana, z „hall'em”, na każdym piętrze reprezentowanym przez trzcinowe mebelki, upstrzone poduszkami. Ze schodów na prawo i na lewo — korytarze, wiodące, zależnie od piętra, do różnego rodzaju pomieszczeń. A więc na parterze, oczywiście kuchnia, koło niej przytulna sala jadalna z kilku niedużemi stolikami i śnieżnobiałymi muślinami, zasłaniającymi duże okna, które się wkłada słońce; największą wszakże ozdobę stanowi tu sklepienie — stare, piękne i przytem bardzo oryginalne, zawdzięczające swoje kształty nie tylko temu, że budynek pochodzi z XVIII w., ale jeszcze bardziej tej okoliczności, że wzniesił go krakowski wolnomularz, do swoich celów naginając jego architekturę. Podobne sklepienie, lecz chyba jeszcze piękniejsze, bo bardziej kopulaste zachowało się w saloniku, czyniąc go podobnym — do jakiejś antycznej bombonjerki, na szczęście wypełnionej także przeważnie antykami, z którymi wdzicznie harmonizuje, królujący pośrodku salonu, staroświecki kominek. Wreszcie na parterze mieści się największe „cudo” Szkoły Kuchnia Dietetyczna, rzeczywiście „ostatnie słowo” pod względem techniki i elegancji urządzenia. Na pierwszy rzut oka, z powodu dziwaczności sklepienia i wielkiej ilości różnych narzędzi dziwnego nabożeństwa, robi ona potrochu wrażenie, jakiejś tajemniczej pracowni alchemicznej; — rozejrzawszy się jednak dobrze w jej wnętrzu, widzi się same przedmioty nowożytne, bynajmniej nie wspólnego z tajemną wiedzą nie mające, jako to: maszynka gazowe — szeregiem dookoła olbrzymiego stołu, zajmującego środek kuchni, poustawiane; pod każdą maszynką w stole — oddzielna przegródka z półeczkami, na których aż roi się od najwymyślniejszych naczyń i sprzętów kuchennych; przed każdą kuchenką taboret, zezwalający osobie pracującej — na przyjęcie od czasu do czasu tak upragnionej pozycji siedzącej. Całą jedną ścianę kuchenną zajmuje dużych rozmiarów kredens — wypełniony po brzegi różnego rodzaju fajansem i porcelaną. W takich to warunkach uczennice szkoły mają przerabiać praktycznie gotowanie dla chorych, co napewno będą robić z wielką przyjemnością, biorąc pod uwagę komfort urządzenia kuchni, dzięki któremu można doskonale zapomnieć o swych wrodzonych, czy też wzmówionych animozjach do sztuki kulinarnej.

Na I piętrze znajdują się: po jednej stronie kancelaria szkoły i mieszkanie Dyrektorki — po drugiej Sala Wykładowa i Pokój Demonstracyjny. Ten ostatni, jest iak dotychczas największym postrachem dla uczennic, stoją w nim bowiem aż cztery łóżka, za pośrednictwem których ma być prowadzona moralna nauka „idealnego” ślania łóżek chorym; a co gorsza w łóżkach tych tkwią manekiny, które rzeczywiście na obraz i podobieństwo śmiertelnie chorych ludzi są sfabrykowane! Co zaś do sali wykładowej, to jest ona tak obszerna, jasna, wyposażona w tak wygodne fotele z szeroką poręczą z prawej strony, w kształcie pulpitu, na których wygodnie można notować, że poprostu nauka wobec tylu udogodnień będzie sama do głów — szeroką ławą wchodzić!

II i III piętro zajmują sypialnie — t. j. miłe, pełne słońca pokoiki — w których wszystko aż lśni od białości: białe łóżka, stoliki, szafy, umywalnie, parawaniki i ściany! Każda uczennica ma oddzielny kąciek dla siebie i jest obowiązana go utrzymywać we wzorowym porządku. Zresztą był o tem wykład — zaraz pierwszego wieczoru — zakończony wręceniem każdej z nas szeregu ścierek o bardzo zróżniczkowanych celach, począwszy od delikatnej ściereczki do kurzu, a skończywszy na grubej ścierece od podłogi. Czyścić ubrania i obuwia oczywiście w sypialniach nie wolno! od tego są dowcipne urządzenia na korytarzach. Zato wolno co wieczór dowoli zażywać ciepłej kąpieli, gdyż kilka łazienek stoi do rozporządzenia szczęśliwych mieszkanek internatu szkolnego. * Na samej górze t. j. na IV piętrze jest jeszcze pralnia, szwalnia, oraz strych, którego część ogrodzona — stanowi przechowalnie walizek i kuferków naszych, jako że w sypialniach być im się nie godzi.

Oto, jak się przedstawia wnętrze szkoły od dołu do góry; dodajmy do tego dużą ilość kwiatów, które są wszędzie porożstawiane; piękne reprodukcje dzieł sztuki porozwieszane po salach i korytarzach, meble harmonizujące ze ścianami, a firanki i z baldachimami i z drugimi — a będziemy mieli obraz — rzeczywiście czystego, higienicznego, estetycznego pomieszczenia —

*) Prócz tego na III p. znajduje się specjalny pokój dla chorych z oddzielną łazienką.

urządzenie którego świadczy o dużej kulturze umysłowej i artystycznej osób, które go stworzyły.

Samo poświęcenie szkoły odbyło się nadzwyczaj uroczysto — przy tłumnym współudziale zaproszonych gości z Senatem Akademickim in corpore na czele. Szkoła bowiem jest pupilką Wszechnicy Jagiellońskiej i w dużej mierze powstanie swe zawdzięcza Wydziałowi Medycznemu, pod którego troskliwą opieką nadal znajdować się będzie. Wielkie fundusze materialne, jakie konieczne były do przerebobienia budynku, wyekwipowania Szkoły i uruchomienia jej, pochodzą z fundacji Rockefellera, a zostały otrzymane dzięki temu, że osobiste zainteresowała się sprawą powstania szkoły Pielęgniarek w Krakowie, dyrektorka tej fundacji na Europie, dzielna Miss Crowell. Była ona obecna na otwarciu i cieszyła się wspólnie z przedstawicielami polskiego społeczeństwa z zapoczątkowania tak pięknego dzieła. Liczni mówcy: rektor, profesorowie Uniwersytetu, gen. Dyrektor zdrowia, przedstawiciel M. W. R. i O. P. zgodnie podkreślali potrzebę istnienia inteligentnych, fachowo doskonale przygotowanych, a ideowo swą pracę traktujących, pielęgniarek i higienistek, a ci, co znają kilkunastoletnią pracę w tej dziedzinie dyrektorki szkoły p. Epsteinówny — w osobie jej widzą rękojmię — że sztandar tej pracy nadal zostanie utrzymany na jaknajwyższym poziomie.

Zakończyła przemówienia Dyrektorka szkoły, dziękując wszystkim tym, którzy przyczynili się do zrealizowania w tak wspaniałych kształtach dawnego przez nią wywionego marzenia, oraz wzywając uczennice do podjęcia gorliwej pracy w myśl wytkniętych ideałów. Tak więc powstała nowa placówka — na której rokrocznie zaprawiać się będą do skutecznej akcji zapobiegawczej przeciw chorobom i do zwalczania ich następstw — szeregi młodych, inteligentnych kobiet. — Życiem obdarzyła tę placówkę naprawdę instytucja obca — ale polską ją zrodziła inicjatywa, polski rząd ją nadal będzie subwencjonować, polska nauka żywić, a polskie instruktorki ofiarować swą pracę do coraz większego rozwoju prowadzić.

I pomyśleć, że jest tyle ludzi w Polsce, którzy radzi wyciągają na powierzchnię najmniejsze ujemne żdźbiele, a uparcie chcą widzieć świetnych dzieł — które coraz częściej w Polsce — pracą polskich rąk powstają.

H. P.

Z KSIĄŻEK

Henryk Staniszewski — Zygmunt Przerębski. Ilustrowany przewodnik dla wychodźców we Francji. Paryż, drukarnia polska. 71, rue de Rennes. 1925.

Nie oglądając się na zapomogi rządowe, nie szukając funduszy zamorskich, wydały dwie nasze rodaczki, stale zamieszkałe w Paryżu, książkę konieczną. Dlaczego jednakże pod pseudonimem męskim? To już ich tajemnica, która musi mieć jakieś usprawiedliwienie. Czyżby obawa przed nieufnością społeczeństwa do wszelkich poczynąń kobiecych? Jezeli tak, to należy ubolewać, że zamiast torować drogę takim samodzielnym doniosłym wysiłkiem dobremu imieniu i ofiarności kobiet, ukryły się te dwie panie pod płaszczykiem męskim.

Już sam wstęp do Przewodnika wskazuje na wysoce obywatelskie stanowisko autorek — przepraszam, autorów, skoro tak chciały i na dostojne zrozumienie podjętych zadań.

„Możeście nie pomyśleli, gdy Was od Ojczyzny oddzielił szmat obcej ziemi, że tej Polski, która tam daleko została, wy tu w tym cudzoziemskim kraju jesteście przedstawicielami. Że ją będą przez Was poznawać i po Was o niej sądzić. Należycie do wielkiego 27 milionowego narodu i macie na obczyźnie obowiązek do spełnienia. Cudzoziemcy, którzy nigdy u nas w kraju nie byli, nigdy nie będą, powiedzą: „My wiemy, co to jest Polska, przecież my znamy polaków, pracowaliśmy razem”. Niechże ich sąd będzie dodatni. Niech od każdego złego czynu powstrzyma Was nie obawa kar i policji, lecz obawa szargania imienia polskiego. Hasłem każdego Polaka, jego przekazaniem, równie świętem, jak te w Katechizmie, winno być: „Nie plam imienia polskiego”.

Ten duch owiewa cały Przewodnik, wydany bardzo starannie, na dobrym papierze, z ładnymi ilustracjami i z czystymi kartkami dla notatek na końcu. Zawiera on wszystkie potrzebne w drodze rady i objaśnienia. Wykazuje instytucje polskie i francuskie niezbędne dla wychodźców w Paryżu i na prowincji.

Przedewszystkiem konsulatory. Podaje spis związków robotniczych i szkół polskich. Udziela wiadomości prawnych. Uczy, jak wyrabiać karty pobytu, co począć w razie zgubienia pasz-

portu i t. p. Lwią część książki stanowi słownik wyrazów, najkonieczniejszych w podróży z podaniem sposobu wymawiania ich. Ponieważ trzeba jechać przez Niemcy, więc słowniczek zawiera również i wyrazy niemieckie. Ważna jest część, obejmująca słownictwo techniczne dla różnych grup roboczych, a więc dla pracowników rolnych, górników, krawców, szewców, drwali, ślusarzy, szklarzy, kowali i t. p. Kilka rozdziałów poświęcono pamiątkom polskim we Francji. Przedewszystkiem — grobom, naszych znakomitych rodaków: Słowackiego, Szopena, Bohdana Zaleskiego, Niemcewicza, Kniaźewicza, którzy spoczywają na cmentarzach paryskich.

Przewodnik pisany jest bardzo poprawną, dobrą polszczyzną. Czy aby tylko trafił do rąk właściwych? Czy nabywa go, jak nakazuje potrzeba, każdy wychodźca do Francji?

C. W.

Z TEATRÓW

Ponowne wznowienie „Króla” Caillet’a i de Flers’a w Teatrze Polskim nasuwa przedewszystkiem refleksje o niezaprzeczonej wyższości produkcji literackiej przed wojną we Francji, nad obecnym anemicznym paryżanizmem fabrykowanym dzisiaj głównie na użytek cudzoziemców anglosaskich.

Dowcipu sytuacyjnego i werbalnego z jednego aktu „Króla” starczyłoby na stworzenie co najmniej dwóch trzy aktowych fars, podających płytkość sztucznego ekureizmu mieszczańskiego turystycznej holocie, uprawiającej zawodowo włóczęgę po Paryżu, ku uldze własnych krajów.

Historja „Króla” na scenach warszawskich sięga czasów stosunkowo dość odległych, kiedy to do „Grądu Światłości” ścigały jak ćmy — najrozmaitsze wielkość poręczonych krajów o ciemnej kulturze. Wśród tych monarchicznych łazęgów zdarzał się czasami istotny potentat, mogący przynieść Paryżowi, oprócz splendoru reklamy, jeszcze i traktat wojсковy, lub handlowy. Pod tym względem dynastia z domu Romanowych dźwżyła prym i byli uprzywilejowani przez najszersze warstwy demokracji, od radykałów — do skrajnej socjalistycznej lewicy.

Caillet i de Flers w swoim „Królu” pomieszały z mistrzowską zręcznością cechy krolików z bałkańskiego Monaco — z właściwościami samowładców największego obszaru mocarstwowego na Kontynencie. Zrodzony z tej kombinacji władca „Serdanji” stał się przeto postacią syntetyczną, zoo na przetrzymać nie tylko zmianę kursów politycznych, lecz nawet stokroć kapryśniejszą niż p. lityka... pani — mody.

Komizm dziejowy sorałi, iż J. n IV król Serdanji prze-trwał w całym blasku swojego farsowego majestatu wiekowe dynastje Habsburgów, Hohenzollernów i Romanowych. Znany i popularny w Warszawie, chyba nie mniej, niż w Paryżu, uzyskał przy powitaniu wznowieniem te same huczne owacje, jakie towar wyszły przed laty siemnastu jego intronizacji na scenie warszawskiej, w teatrach Miejskich, z Gasńskim i Cwiklińskim, a następnie przed paroma laty w teatrze Polskim z Kamińskim i Mrozińskim.

Obecnie otrzymał „Król” obsadę nieco skromniejszą, bez udziału renomowanych wielkości, zg. la demokratyczną w stosunku do poprzednika, a jednak urok monarchji potrafił utrzymać przy życiu. Znaczna część zasługi w tej mierze przypada panu Maszyńskiemu, który wbrew wróżbom złowieszczym, okazał się godnym swych poprzedników następcą tronu.

Rubaszność i węgł w interesach przy tępcie etycznej i estetycznej — doskonale uwydatnił w roli dorobkiewicza — Bourdiera p. Samborski, któremu oprócz talentu dopomogły do powodzenia warunki postaci i głosu. Pani Modzelewska była obsadzona mniej właściwie, gdyż dobrą swoją grą nie mogła zastąpić w całości specjalnego wdzięku paryskiej midinetki, będącej skomplikowanym wytworem długiej, a nieco perwersyjnej kultury ulicy wielkomiejskiej.

P. Miła Kamińska wysunęła się na czoło obsady kobiecej, dzięki doskonale zrozumianemu i zastosowanemu stylowi wielkiej damy z półwieka, który nad drugą połowę świata panował samowładczo zarówno u schyłku monarchizmu jak i w rozkwicie republikanizmu. Dla czytelniczek „Bluszczy” dołączymy tu informację, że styl jej ostatnich tualet przynieść mogłby chlubę nie tylko Hersemu, lecz i Poiret’owi.

Nie zajmując się gruntowniejszą analizą tego popularnego wznowienia, zaznaczymy tylko, iż publiczność dzisiejsza znacznie lepiej rozumie komizm sytuacji i dowcipów politycznych w „Królu”, gdyż nabrała wprawy w życiu republikańskim i bezpośrednio odczuwa zarówno jego wartości, jak śmieszności.

Zast.

MODY·I·ROBOTY



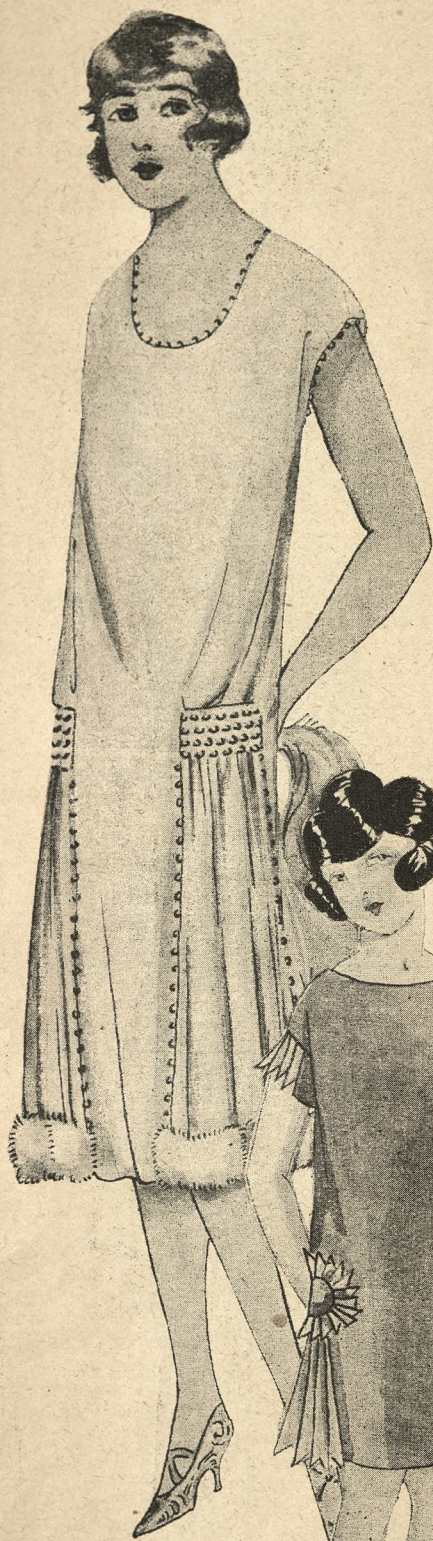
78.



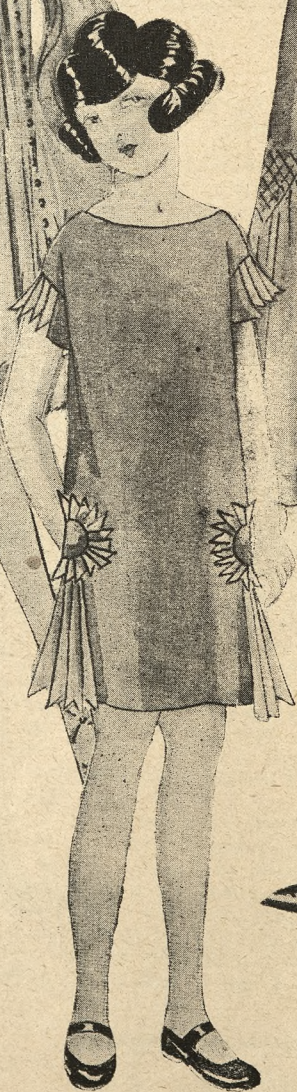
79.



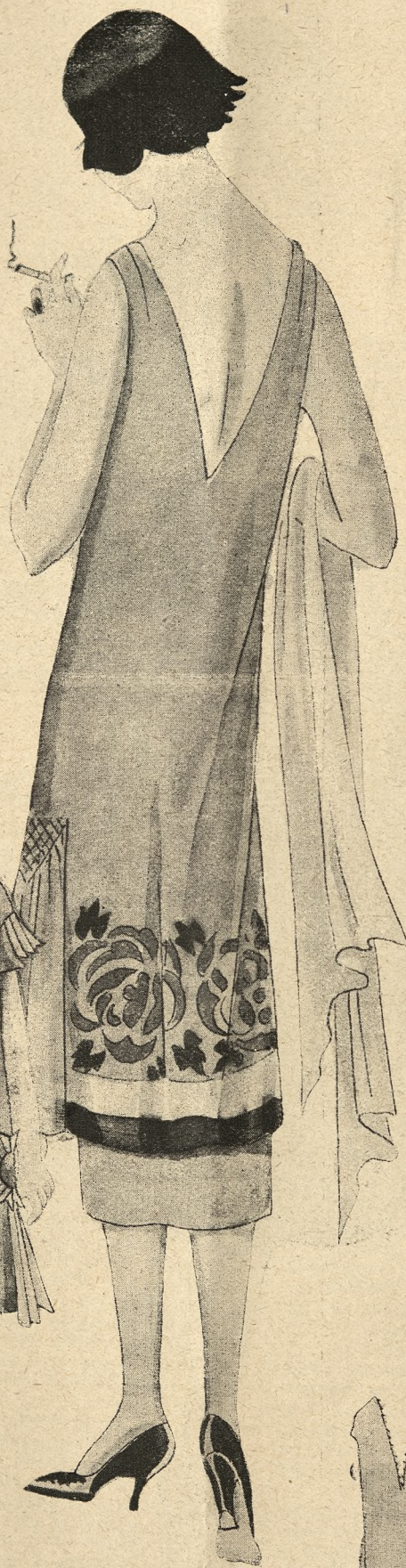
80.



81.



82.



83.



84.



85.



86.



87.



88.





89.



90.



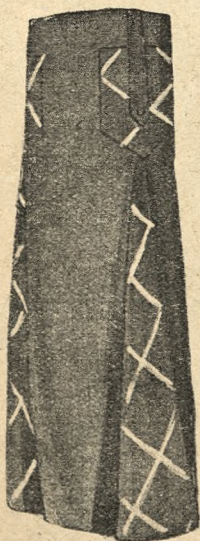
91.



92.



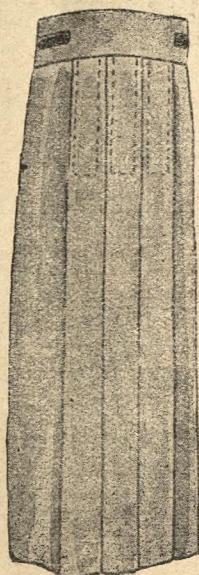
93.



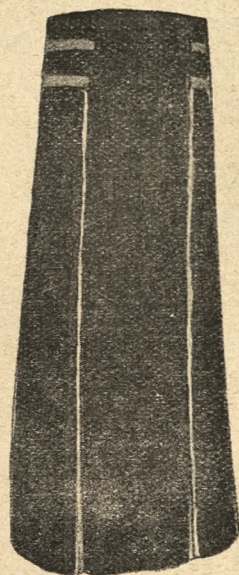
94.



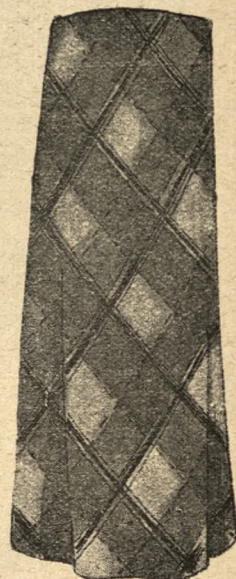
95.



96.



97.



98.



99.



BRONZOWY



ZIELONY

ZÓŁTY



SZAFIROWY





100

101.



MODNE KOKARDKI



Bardzo dziś noszone do sukien i kapeluszy są okrągłe płaskie kokardki, układane z tiulu, lekkiego materiału, wstążki, lub koronki. Do zrobienia łatwe, trudność przedstawiają tylko w obliczeniu jak długim powinien być pasek, który po splisowaniu mamy naszyć na okrągłą podstawkę, na której robić będziemy kokardkę. Otóż trzeba obmierzyć obwód tyle razy, ile ma być wstążeczka naszyta — pomnożyć go przez trzy, a osiągniemy potrzebną długość.

Tiul składamy podwójnie, lekki materiał wykończamy мережką marszczoną, którą przeciąwszy otrzymujemy pikoty — wszystkie paski 2 i pół ctm. szerokie, plisujemy drobnutko w maszynie, w ręku bowiem nigdy nie dałyby się tak równo ułożyć, koronkę marszczymy brzegiem, bo lżej wygląda ułożona w rurki, jak splisowana. Na podstawkę krajemy kółko ze sztywnego tiulu, do jasnych kolorów z białego, do ciemnych z czarnego, trochę mniejsze, jak ma być kokardka, obszycamy je wstążeczką (rys. № 1) tego samego co kokardka koloru.

Na tej podstawce układa się splisowany pasek tak, aby połową wystawał poza kółko (rys. № 2) i tak

przyszywa się go wokoło — uważając, aby jeden rząd nakrywał drugi do połowy — w samym środku przyciąga się trochę wstążeczkę, żeby gładko leżała — następnie zakłada się brzeg i zaszywa kryto,

(rys. № 3.) Cały szyk tych kokardek dużych, czy małych, zasadza się na tem, aby były równe i okrągłe, tak jak nam to rys. № 4 wskazuje.

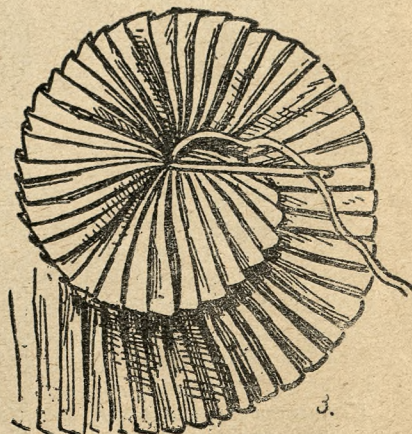
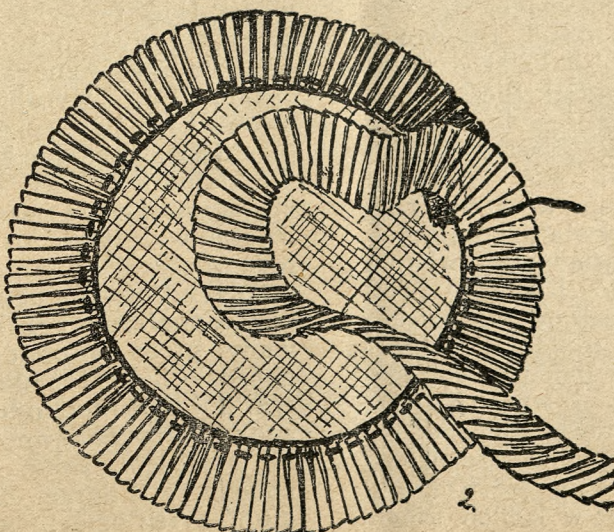
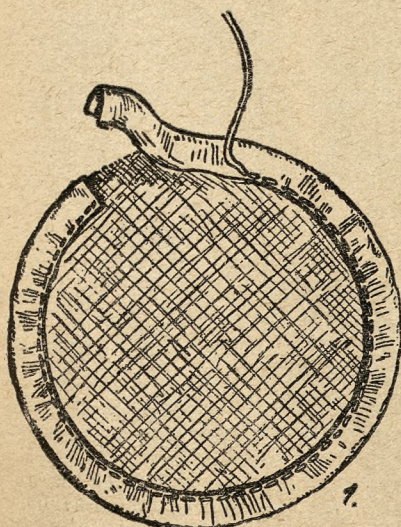
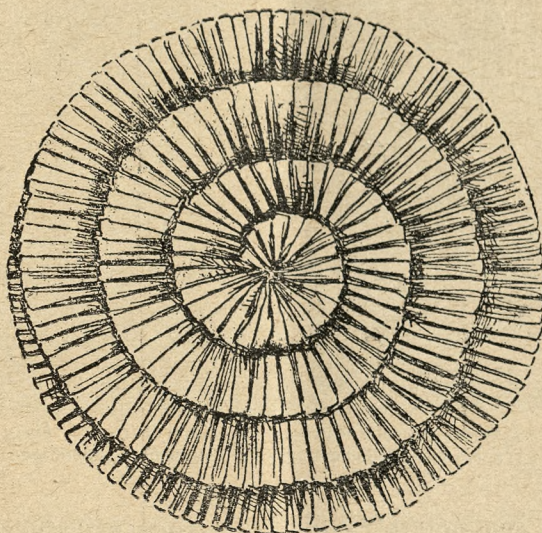
Do kapeluszy ładnie wyglądają zrobione w kilku wielkościach — z wstążeczki cieniowanej, lub z paru dobrze dobranych kolorów.

Otocza się nimi rondko jakby diademem — kładąc w środku największą, ku bokom coraz mniejsze.

Przy sukniach wykończyć można, tak dziś bardzo modne, zęby u dołu drobnymi

kokardkami, odpowiednio do koloru sukni dobranymi, lub nakryć nimi miejsca, gdzie wszyte są tak zwane godety. Kokardki te mogą być różnokolorowe, byle się ładnie cieniowały — stanowić będą śliczne wykończenie spódniczki.

Koronkowe kokardki zastosować można do czepek i letnich sukienek, kokardki z tiulu georgette'y i lekkiego materiału do sukien wieczorowych i balowych, ze wstążki do kapeluszy.



BAL DZIECIĘCY

Egzystuje w Paryżu śliczny zwyczaj, wprowadzony przez pismo kobiece Femina, urządzania dorocznego balu dziecięcego, zakrojonego na szeroką skalę, a noszącego charakter balu kostiumowego.

Odbywa się on pod nazwą balu: „De la Bibliothèque Rose Illustrée”, a mali goście przyjmują na siebie postacie bohaterów i bohaterek powieści, czytanych przez nich z tak wielkim zainteresowaniem. Dochód z balu tego przeznacza Femina na cele związane ściśle z egzystencją dziecka, któremu społeczeństwo winno przyjść z pomocą, w nauce, odzyskaniu zdrowia, czy poprostu w samym fakcie życia, zagrożonego niejednokrotnie brakiem kawałka chleba. Cóż naturalniejszego, a w prostocie swej ładniejszego nad to, aby dziecko do dziecka wyciągnęło dobroczynną rączkę i to, któremu Bóg zesłał nadmiar, częstką swego dobrobytu podzieliło się z łaknącymi.

Podając parę kostiumów dziecięcych, które w epoce karawałowej, zaciekawia może nasze czytelniczki, rzucamy równocześnie myśl urządzenia i u nas czegoś podobnego, ma się rozumieć w przystosowaniu do skali naszego życia i bardzo ciężkich czasów, jakie przeżywamy. Bal kostiumowy dziecięcy, czy też młodzieńczy, doskonale może obejść się bez jedwabi,

koronek, kosztownych tkanin. Śliczne efekty osiągnąć można, powołując do życia kreacje bibułkowe, wzorowane na charakterystycznych strojach ludowych, historycznych obrazach, baśniach i kwiatkach.

Tam, gdzie chodzi o dzieci zupełnie małe, motywy muszą być mniej skomplikowane, proste w kompozycji i wykonaniu. Krasnoludki, Czerwony Kapturek, Pierrot, Colombine, tak barwna i strojna zawsze krakowianka, paż, królewna Śnieżka, wreszcie cały szereg kwiatów, dających się naśladować wiernie i tchnących zawsze świeżym czarem. Jak stosunkowo prosto i dostęпно, z punktu widzenia kosztu, i wykonania, przedstawia się zmienienie drobnej postaci dziewczęcej na jeden krótki wieczór w kielich szkar-

łatnego tulipana, kwiat bladej polnej róży, gwiazdę białego rumianku, strzepiony zlekką szafirowy bławatek, lub pastelowy w tonie wspaniały i bogaty gwóźdź nicejski.

Szarotki, niezapominajki, bławatek, mak, leśne dzwonki, złotolistne jaskry i kaczeńce oto temat do zmienienia sali balowej w barwną i śliczną grzędę kwiatną. „Panów” ubierzmy w kolorowe fraki, krótkie spodnie, pończoszki i lakierowane pantofelki z klamrą, łącząc pary, dobierajmy barwy, harmonizujące ze sobą, a efekt osiągnięty będzie ciekawy i artystyczny.

Bal kostiumowy młodzieńczy da się ująć pod względem formy zewnętrznej głębiej i ciekawiej. Można nadać mu cechy historyczną, a biorąc za punkt wyjścia szereg obrazów pierwszorzędnego pędzla, odtworzyć wiernie epokę, lub co byłoby daleko ciekawiej, przejść wszystkie epoki, od najdawniejszej, aż po dobie obecną.

Praca nad takimi kostjumami wymagałaby już kierunku wysoce artystycznego, mogłaby jednak być wykonaną przez rączki przyszłych uczestniczek balu, które, umiejętnie inspirowane, umiałyby stworzyć rzeczy ładne i wartościowe. W szczupłych kółkach prywatnych urządzano niejednokrotnie podobne próby, z wynikami naogół zadawalniającymi.

Dziewczynki, kreując kostjumy swoje, wykazywały dużo inicjatywy i gustu. Pracując rok rocznie nad pomysłem i zrobieniem kostjumy własnymi rączkami, znajdowałyby w tem szlachetną podniechęć i dawały coraz pełniejsze i doskonalsze wyniki pracy i pomysłowości. Nawet zwykła zabawa może w ten sposób przyczynić się w znacznym stopniu do wyrobienia smaku i wrażliwości estetycznej. Dzieci same kryją dla siebie kostjumy ktoś starszy niech nie narzuca im swej woli tylko rozumnie i celowo kieruje pracą młodych. Bufet, na balu takim, zaopatrzony i obsługiwany przez młodociane gosposie, byłby też niemałym źródłem dochodu, a zaokrągliłyby napewno sumę czystego zysku, złożonego w darze dzieciom przez dzieci. W. D.



Kostjum Pierrota, czarny z białymi pomponami.

Kostjum Pierrotki, biały z czarnymi pomponkami.



Kostjum czarownicy, z szarej satyny, aplikacje czarne.



Kostjum „campanula”. Staniczek zielony, spódniczka lilacowa.

WALKA Z BEZGUSTEM NIEMIECKIM W B. ZABORZE PRUSKIM

Każdy, kto z innych dzielnic Polski stanął przed pięciu laty w jednym z domów małomieszczańskich b. zaboru Pruskiego, uderzony być musiał przera

żliwym brakiem gustu w urządzeniu i przyozdobieniu mieszkania. To samo można było powiedzieć o domach wiejskich. Wprawdzie zanik chat, choćby najbardziej malowniczych, jest pożądanym przejawem wzrastającej zamieszkałości i z tego względu mile się witało dostatnie, murowane, opatrzone wielkimi oknami, domy po wsiach, niemniej z jakimiś uczuciami niesmaku, a nieraz i wstrętu przychodziło nam się rozejrzeć po takim pokroju „od gości”. Bo o ile w dworach szlacheckich i mieszkaniach rodzin inteligentnych więcej niż w innych dzielnicach przechowało się różnych antyków, wytwornych mahoni, inkrustowanych szafek, oszklonych serwantek, pełnych precyzyjnych cacek i tych kantorków o niezliczonej ilości szufladek i skrytek, przedmiocie marzeń naszych lat dziecięcych, o tyle wśród tych, którzy nie odziedziczyli nic po przodkach, którzy dorabiając się przy chlebobawcach Niemcach, przejmowali od nich gust, a raczej bezgust i zamiłowania dziwnie wykoszlawiające artystyczną z przyrodzenia duszę polską, przejawiającą się w sztuce ludowej: samodzielami łowickimi i sieradzkimi, snycerstwem i architekturą podhalańską, przebogatem zdobnictwem huculszczyny, przekształceniem na misterne cacka skorupki jaj, makówek i słomy w połączeniu z bibułką, lub szmatkami. Przejawów tej sztuki próżnobyście szukali wówczas, przed pięciu laty.

Ledwie tu i owdzie na Kaszubszczyźnie, zwłaszcza u jakiego proboszcza amatora, znalazłeś jaką serwetę haftowaną kolorami w stylu kaszubskim, lub podobnie zdobiony polewany dzbanek. Żeby nacieszyć się istną powodzią tych przedmiotów kaszubskiej sztuki musiałeś jechać do Wdzydz, gdzie dzięki długoletnim

zabiegom p. Teodory Gulgowskiej skoncentrowała się kaszubska sztuka zdobnicza rozchodząc się stąd na szeroką okolicę za pośrednictwem tej wybitnej

działaczki i jej męża, oparta o znakomite wzory, czysta w swym pierwiastku, piękna w udoskonaleniu, pożądana, bo dająca zarobek domowemu licznym jednostkom, najczęściej takim, które inaczej zarabiać nie mogły.

I rzecz dziwna, ta piękna sztuka pomorska nie znajdowała uznania wśród szerokich mas mieszkańców b. zaboru pruskiego. Natomiast w każdym domu ta sama, straszna, przygnębiająca jednostajność wzoru tandety niemieckiej. Wszędzie te same łóżka, ozdobione w każdym rogu szablonową ornamentacją, karykaturalne szafki nocne o nieproporcjonalnie wyuniętej górnej części, z szybami z zielonego szkła. Gorzej jeszcze z ozdobami, których w każdym szanującym się domu wielkopolskim, lub pomorskim musiało być dużo, bardzo dużo. Czego się tam nie widziało!

Przedewszystkiem na wszystkie strony jakieś sentencje (jakże często niemieckie!) wyszywane, lub haftowane! Tu draperja nad łóżkiem mówi ci dzień dobry, tam poduszka na kanapie życzy słodkich marzeń, tam rękawik przy umywalni poucza cię, że czyste ręce są obowiązkiem każdego człowieka, owdzie zasłonka nad wodociągiem głosi, że „czysta woda, zdrowia dodaje” i t. d. i t. d.

A jakich brzydactw nie obejmowały ramy obrazów! Tu widoki

jaskrawe, których blask podnoszonym jest przez proszek metaliczny — zielony na drzewach, błękitny i srebrny na wodzie; tam na błyszczącym, jak atlas papierze, jaskrawo czerwone róże i złotem haftowane życzenia z racji ślubu, czy jubileuszu; gdzie indziej dwóch wojskowych w niemieckich mundurach, siedzą okrakiem na krzesłach i trącają się kufkami, na których napisano gotykiem: prosit! A czego nie widziało się na konsolkach etażerka chl... Ktoby zliczył te



Z wystawy prac szkolnych.



Z wystawy prac szkolnych

porcelanowe panny w modnych sukniach, odsłaniające karykaturalne łydki, lub nieproporcjonalnie obfite biusty! te długobrode i tak charakterystyczne germańskie gnomy, i te wyrazy dowcipu niemieckiego — popielniczki, naśladowujące przedmioty przeznaczone do najniższych posług człowieka, wzbudzające wybuchy rubasznego śmiechu, gdy na dnie... fajansu dopatrzy się malowane oko, lub uchylone usta.

Wprost nie do wiary, rzecz oglądałam w domu pewnego rzemieślnika. Oto w bardzo ładnej białej lakierowanej żardinierce stało 10 równej wielkości butelek, otoczonych zielonym papierem, a w każdej butelce tkwił jeden różowo — biały sztywny tulipan z bibuły!

Otóż nie umiałabym powiedzieć, kiedy właściwie okropności te pozniwały prawie ze wszystkich mieszkań, a miejsce ich zajmują coraz częściej, coraz gęściej, śliczne, stylowe wycinanki, dywaniki aplikowane, lub plecione z rafji, bardzo gustowne wyroby introligatorstwa galanteryjnego, nawet pajaki ze słomy i łańcuchy leciuchne, jakby żywcem przeniesione z pod Krakowa, czy Łowicza.

Jakaż dobroczynna wróżka cudowną tę zmianę uskuteczniła?

Początkowo było ich kilka zaledwie, były to przeważnie nauczycielki seminarjów i szkół ludowych, przybyłe z dalszych kątów Rzeczypospolitej. One to pierwsze podjęły pracę zwalczania bezgustu i wszczepiania szlachetniejszych zamiłowań. Niektóre w ciągu dwóch, trzech lat zdołały osiągnąć rezultaty wprost zdumiewające.

Patrzę bliżej na seminarjum nauczycielskie w Toruniu, w którym kierowniczką p. Stanisława Suferowa rok po roku urządza wystawy robót uczennic wprost imponujące. Tembardziej godne naśladownictwa, że prace wykonywane są materiałami tanimi. Widziałam parawany ze zwykłego siennikowego płótna, na których kolorową rafją

wyszywane są tak delikatne motywy, jak pawie, motyle i t. p. Zachwyt ogólny wzbudzały maluskie szare szyszki modrzewiowe przekształcone z pomocą czerwonych zapalek na żórawie i układane w różne grupy wśród mchów i suchych traw.

Rezultaty tej pracy uwydatniły się w tym roku na wystawie Grudziądzkiej. Niektóre szkoły Pomorskie wystąpiły na niej wprost zachwycająco, i to nie tylko seminarja i szkoły wydzielone, ale i niektóre szkoły ludowe wykazały wspaniałe rezultaty.

Obok szkół państwowych stają kursy przypadkowe. Pierwsze miejsce i wyraz najwyższej wdzięczności należy się hr. Laurze Walewskiej ze Skarszew, udzielającej u siebie zupełnie bezpłatnie nauki robót i malarstwa na tkaninach, a podsuwaniem prześlicznych modeli, zmuszającej niejako do umiłowania piękna.

Od kwietnia p. Jezierscy, wychowawcy Krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, przeprowadzili kursy batiku kolejno: w Bydgoszczy, Toruniu i Inowrocławiu. Nauka była tania, nauczyciele ułatwiali wciągnięcie się w nią, dając przez cały czas studjów do rozporządzenia własne farby i przybory. Wzory jakie podsuwano, o motywach, czerpanych z ornamentacyi czystej sztuki, podobały się ogólnie i sprawiły, że w miastach tych, każdy dom stara się mieć choć jedną poduszkę, lub draperję, a w piękne dni, ulice podnoszone są w swym blasku precudnymi szalami malowanemi batikowo.

Poznańskie ma swoje szkoły i swoich działaczy. I tak z jednej strony polska sztuka ludowa, z drugiej wszech europejska, wciskają się szerokiem łożyskiem do domów b. zaboru pruskiego, stają śmiało do walki z pozostałemi, szkodliwemi maruderami niemieckości i stwierdzają dobrodziejstwo złączenia dzielnic Polski, ku wzajemnej korzyści i zobopólnemu pouczeniu o drogach ku dobremu i pięknu.

M. Bogusławska.

JESZCZE W KWESTJI BOLĄCZEK

W 45 numerze „Bluszczu“ z dn. 7 listopada r.u. poruszałam w artykule p. t. „Bolączki“ kwestję zaniedbania naszych uzdrowisk i kąpielisk, zaniedbania graniczącego z uporczywem niezrozumieniem własnego dobra.

Stwierdzając tak ogólnie znaną martyrologię zamieszkiwania nadmorskich „Domów Kuracyjnych“, wszelkich prymitywnych izb i źle, a niedbale urządzonych pensjonatów, których jedynym celem jest jaknajobfitsze żniwo materialne, czyli minimum wydajności wszelkiego dobra za maximum zagarniętej gotówki, rzuciłam myśl zorganizowania przez grono zrzeszonych kobiet wybrzeża morskiego i wszelkich miejsc kuracyjnych i zdrojowisk, z punktu widzenia stworzenia tam placówek kulturalnych, postawionych racjonalnie i mających na względzie sanację stosunków mieszkaniowych i odżywczych.

Liczne listy, jakie otrzymałam w tej kwestji, świadczą o zainteresowaniu szerokiego ogółu kobiet i skłaniają mnie równocześnie do masowej odpowiedzi. Poszczególne korespondencja w tej sprawie staje się zbyt ciężką wobec jednolitego ustosunkowania się Pań do tej palącej bolączki. Sądję, że słowa, które tu przytoczę, będą odpowiedzią wszyst-

kim sympatycznym adeptkom mojej idei i że w ten sposób porozumiemy się łatwiej.

Jeżeli przy pomyślniejszych konjunkturach finansowych i poważnem szerokiem zainteresowaniu się sprawą złożenia konsorcjum, celem którego byłoby stworzenie szeregu poprawnych, a z czasem wzorowych pensjonatów i jadłodajni, rzucony przezemnie projekt w czyn wcieli, otworzy się bezwzględnie dla kobiet nowe, bogate i odpowiednie pole do pracy. Trzeba jednak spojrzeć otwarcie w twarz sytuacji i zrozumieć, że nie będzie tutaj miejsca na dyletantyzm i że stowarzyszenie nie może być stowarzyszeniem wzajemnej adoracji, a placówką, która dążyć musi do zatrudniania jedynie skończonej fachowych i wyszkolonych jednostek, jakie po przejściu odpowiednich praktyk w dziedzinie hotelarstwa przystąpią do pracy silne doświadczeniem i wyszkoleniem. Jest to jedyna droga, którą, krocząc, dojść będzie można do stworzenia kulturalnych środowisk, gdzie ludzie, płacący mniej lub więcej, otrzymają równoważnik ciężko zapracowanego grosza, wydanego w kraju, a miesiący, tygodni, czy dni ich wypoczynku, spędzonych na tle uroczych krajobrazów naszych gór i lasów, lub w życiodajnych prądach wia-

tru od morza, nie zatrjuje gorycz udreki, idacej od drobnych, codziennych prywacyj i obnizania skali potrzeb i przyzwyczajen, ktore, dla ludzi o zachodniej kulturze, jakich u nas nie brak, naleza do koniecznosci zyciowych.

Postawienie na odpowiednim poziomie hotelarstwa, pensjonatow i restauracyj w miejscach wywczasow letnich, kapieliskach i stacjach klimatycznych Polski, przyniosloby kobiecie polce nietylko powazny dorobek materialny, ale i moralny, przyczyniajac sie do zagospodarowania wewnetrznego kraju, podniesienia skali kultury i dobrobytu, przez przyciaganie nietylko swoich, ale i obcych, tak chorych, jak i turystow.

Azeby wyrobic sobie marke, a nadewszystko odpowiedziec prawdziwie uczciwie i celowo podjetemu zadaniu, trzeba powaznych kapitalow, syzyfowej pracy i czasu. Braki tak doniosle, jak nieudolnosc i wyzysk uprawiany z niezaprzezonym talentem, musza zniknac z powierzchni, a praca fachowa, umiejetna, tworcza i poniekad ideowa, owocowac bedzie bogato, ale owocowanie to zwiazane jest z dluga i mozolna uprawa zachwaszczonej gleby.

Dlatego tez z przykroscia otworzyc musze oczy wszystkim tym osobom, ktore zwrócily sie do mnie listownie, z pewna nadzieja znalezienia zatrudnienia i zarobku juz w najblizszym sezonie. Sytuacja finansowa, trudne kredyty i brak plynnego kapitalu, podcinaja skrzydla wszelkiej inicjatywie, zakrojonej na szersza miare, a zreszta, jezeli panie zechca byc bezstronnymi, przyznac musza, ze do dzwignicia

tak powaznego ciezaru nie mozna przystepowac z kwalifikacjami amatorow, ktorych jedyna rekomen-dacja jest to, ze nie posiadaja zadnego fachu, a prace w dziedzinie hotelowo pensjonatowej uwazaja za latwy i przystepny sposob uratowania prestige'u tam, gdzie ostatni burzliwy lat dziesiatek, zasypal gruzami teren, na ktorym mogly rozlaczac swój niezaprzezony i cenny talent towarzyski.

Trzeba pogodzic sie z tem, ze epoka naginania zycia do siebie skonczyla sie bezpowrotnie wraz z krolestwem uprzywilejowanych. Dzisiaj jedynym przywilejem jest solidna fachowosc i wydajna praca, ktore tak harmonijnie chodza ze soba w parze, a polki w ogromnej dozie intuicji, wrodzonej inteligencji umyslowej i duchowej, czerpac przytem moga silę tworcza, zapomoca, ktorej poczynania ich wyrosna do rozmiarow dalekich od przecietnosci.

Jeżeli projekt rzucony pozostaje dotad w dziedzinie projektow jedynie i jeżeli w czyn sie wcielić nie zdoła, bedzie to w pierwszej linii winą braku rak fachowych i zastepu karnych, wywiczonych i doswiadczonych pracownikow. Ryzykowac mozna własne grosze tam, gdzie podstawa pracy i powodzenia maja byc znane, a nieszczesne slowa: „jakoś to bedzie“, a wynikiem mniej lub wiecej dostatni byt osobisty, tam jednak, gdzie w gre wejda kapitaly cudze i dobro sprawy prawie ze społecznej, trzeba walorow o fundamentach z granitu. Dostarczcie nam szeregu wyszkolonych, odpowiedzialnych pracownikow, jako podwaliny pod gmach, ktory wznieśc pragniemy, a kapital, a z nim placowki znajdą sie bezsprzecznie.

N...ska

OBJAWY NIEDYSPOZYCJI U DZIECI

Niedomaganiom, o ktorych tu mówić będziemy, zaradzić może przewaznie matka sama, trzeba jednak zawsze o tem pamiętać, ze pierwsze objawy chorobowe bywaja naogół bardzo zblizone i dlatego to bezpiecniej jest wezwac lekarza, gdy zachodzi jakakolwiek niepewnosc. Najczesciej zdarzaja sie u dzieci zaburzenia zoladkowe, pochodzace z przeladowania pokarmami. Trudno bywa bardzo wytlumaczyc matkom, ze drobne i delikatne dziecko wymaga pozzywienia znacznie mniej obfitego — niz duze i silne. Obstrukcję, tak czesto sie zdarzajaca, można zupełnie wyleczyć jedynie scisle pilnowaniem oznaczonej na funkcję zoladkową godziny. Kontrola staje sie trudniejsza, gdy dziecko wyrasta, jednakże pewne podraznienie, sklonnosc do irytacji, niemily oddech, język oblozony, są zawsze wskazówkami nienormalnego trawienia.

Lekkie srodki przeczyszczajace, jak np. cascara, emulsja z olejku rycynowego, lub parafiny mogą być pomocnymi w tym razie, lepiej ich jednak nie naduzywac. — Powtarzajace sie czesciej ataki zolciowe pochodza zwykle z tego — ze niektore organizmy z trudem trawia wszelkie tloszcze, trzeba zatem usunac zupełnie, lub czesciowo: jaja, mleko i inne tloszte pokarmy. W zaburzeniach odlechowych — objawy astmy okazuja sie nieraz czysto nerwowym refleksem. Tak zwany falszywy krup, ktorego symptomaty są bardzo alarmujace, ustępuje latwo przy

zastosowaniu inhalacji, lub goracych okladow, nie można jednak zapominać, ze objawy dyfterytu są zupełnie podobne i wymagaja jaknajszybszej interwencji lekarza.

Toksyny, pochodzace z pokarmow, wywołuja nieraz dolegliwosci reumatyczne; pierwszy m objawem reumatyzmu — są tak zwane popularnie bóle rosnicia. Skarzace sie na taki ból w nogach — dziecko, trzeba przede wszystkim zabezpieczyc od wilgoci i zimna, ubierajac je w dlugie, ponad kolana pofczoszki.

Pomiedzy chorobami wieku niemowlęcego zdarzaja sie najczesciej katary i diarja. Te dolegliwosci przejsciowe nie powinny wprowadzac zadnych zmian do systemu wychowania fizycznego dziecka.

Biale afy w jamie ustnej leczą sie latwo smarowaniem gliceryna z chemicznie czystym boraksem. Czesta zmiana pieluszek i stosowanie lagodzacej maści (cynkowa z lanolina) zabezpiecza niemowlęta od odparzen.

Zwyczaj moczenia w lozku u dzieci starszych może miec bardzo różne przyczyny: robaki, przerost gruczolow, narośle adenoidalne, zwężanie napletka etc. Z wiekiem i z ogólnym wzmocnieniem sie organizmu te złe przyzwyczajenia znika. Sugestia stosowana w tych wypadkach bywa nieraz bardzo skuteczna, ale nieustanne łajanie i przypominanie jest czasem wprost szkodliwe.

SZYCIE

Umiejętność szycia w rękę dochodziła dawniej do takiej doskonałości, że ją poprostu artystem zwać można było. Niejedna z nas posiada jeszcze w swoich zabytkach cudownie szyte i haftowane poszewki, spódniczki, kołnierzyki po babkach, na które z pietyzmem i zachwytem patrzeć tylko trzeba, przechowując z największą starannością te relikwie pracy i cierpliwości.

Z zapanowaniem wszechwładnej maszyny — tak bardzo popularyzującej i demokratyzującej szycie, praca ta ułatwiona wprawdzie — w dużej mierze zatraciła cechę wykwintu i przestała przeważnie interesować kobiety. Dziś poprzestaje się na kupieniu gotowej, lub w najlepszym razie obstalowaniu bielizny, w której hafty i ażury większą odgrywają rolę, jak szycie. Mało która z Pań dzisiejszych wie nawet jak się jaki ścieg nazywa — i do jakiej roboty da się zastosować. A jednak każda kobieta powinna znać elementarne zasady szycia — czy to dla użytkowania ich dla siebie, czy też dla nauczania, lub skontrolowania roboty drugih. Do różnych potrzeb — różnych używa się ściągów i tak: przed igłą zeszywa się dwa materiały, złożony je równo ze sobą, o ile nie mają być podwójne — w takim bowiem razie trzeba wypuścić cokolwiek jeden brzeg, a po zeszytciu, podwinąwszy go, podszyć drobno ukośnie, ścieżkami, jak przy obrębieniu. Za igłą zeszywa się rzeczy grubsze, twardsze, potrzebujące mocniejszego dociągnięcia i rękawy, o ile noszone są wszywane, bo przy porządnym szyciu nie wszywa się nigdy rękawów na maszynie, podwójnie się szwy zeszyte naprzód przed igłą, tak, jak powyżej wskazałam.

Obrębia się założone węższe, lub szersze obrąbki równymi ukośnymi ścieżkami, a w cienkich lnianych chusteczkach i w batystowej bieliźnie ręczną mereżką. Francuskim szwem zeszywa się szwy na prawą stronę samym brzeżkiem — następnie odwraca i drugi raz zeszywa na lewo. Wykwint tego szwu polega na bardzo wąziutkim powtórznym zeszytciu. Jest to sposób używany do zeszywania bielizny, sukien, bluzek etc. Wierzchem czyli na okrętkę przyszywa się koronki do koszul, serwetek, chusteczek etc., uważając, aby szyć po koronce, również wierzchem zeszywa się prześcieradła z dwóch brytów robione i wszelkie materiały brzegami zeszywane. Stembnuje się bieliznę męską, płaszcze, kostjomy i p. t. Te wszystkie sposoby szycia zastępuje doskonale maszyna, grubszą, lub cieńszą igłą — większym, lub mniejszym ścięciem. Przytoczę jeszcze kilka ręcznie tylko zastosować się dających ściągów. Fastryguje się specjalną bawełną, przygotowując robotę do maszyny (o ile szwy są proste, a szyjąca wprawna może na spiąć szpilkami), lub szyjąc w rękę na okrętkę, aby nie wszyć materiału i w wielu innych potrzebach.

Ryguje się podszewkę do wierzchu — czyli przyczepia kryto wielkimi ścięgami, aby się nie kręciła i nie opuszczała. Krytym ścięciem przy-

szczywa się różne ruloniki, ozdoby etc. Inkrustuje się wszywając drobnutko wierzchem, przyfastrygowane motywy, z pod których po skończeniu i wypruciu fastrygi wycina się materiał. W bieliznę z koronek i haftów, w suknie i stroje damskie, z lamy, aksamitu i różnych innych w danej chwili modnych materiałów. Te inkrustacje wszywać też można maszyną okrętkową — wykwinniejsza i lżejsza jednak o wiele jest robota ręczna, na którą przy takich pięknych rzeczach nie trzeba żałować. Pikuje się kołdry watawone specjalnymi długimi igłami. Obrzuca się szwy albo podwójnie złożone, albo rozprasowane. U okryć i grubych wełnianych rzeczy lepiej je lamować tasiemką, lub wąską półjedwabną wstążeczką. Określiwszy mniej więcej wszystkie bardziej znane i używane przy szyciu ścięgi, chciałabym również oznaczyć ilość potrzebnego na różne rodzaje bielizny materiału. Nie tak często wprawdzie, jak przy sukniach, zmienia się moda w bieliźnie damskiej, dosyć jednak często, aby utrudnić ściśle unormowanie wymiarów. Przyjmiemy za podstawę, że:

Na koszulę dzienną damską, płótna, lub innego materiału szerokiego 80 cm. potrzeba dwie długości, które ściślej określa się stosownie do mody krótszej, lub dłuższej, z ramiączkami, lub bez.

Na koszulę nocną damską liczy się również 2 długości, plus rękawy, jeśli mają być długie.

Na majtki bierze się materiału 2 odpowiednie do mody długości.

Na koszulę męską dzienną potrzeba 3 metry 20 cm.

Na koszulę męską nocną, którą kraje się dłuższą 3 m. 60 cm.

Na prześcieradła na materace używa się płótna jednej szerokości, długość potrzebna 2 m. 25 cm., o ile materiał wązki do zeszywania okrętką przez środek, to 5 metrów.

Podpinke robi się z 2 m. 50 cm.

Na poszewkę potrzeba 1 m. 90 cm. płótna, lub materiału szerokiego 80 cm.

O ile chce się kupić obrusy na łokcie to potrzeba:

Na obrus na 6 osób materiału szerokiego 1 m. 60 cm., długość 1 m. 75 cm.

Na obrus na 12 osób szerokość 1 m. 90 cm., długość 3 m.

Na obrus na 18 osób szerokość 2 m., długość 4 m. 50 cm.

Na obrus na 24 osoby szerokość 2 m., długość 6 m.

Serwety kupuje się odpasowane, uważnie rozcina podług nitki.

Na ręczniki o ile nie bierze się odpasowanych — trzeba liczyć 1 m. 50 cm. na jeden.

Porządne, dośstatnie, ściěrki płócienne powinny mieć 1 m. długości na 90 cm. szerokości. J. S.



PIŚMIENNICTWO OGRODNICZE

Przy porównaniu polskiego piśmiennictwa ogrodniczego z piśmiennictwem takim w krajach Europy zachodniej, a nawet z piśmiennictwem ogrodniczym Rosji przedwojennej, stwierdzić będziemy musieli z żalem ubóstwo naszej literatury i dotkliwą lukę w niektórych działach, jak kwiaciarstwo szklarniowe, drzewoznaństwo, parkownictwo i t. p.

Ale jeśli weźmiemy pod uwagę położenie polityczne Polski w okresie najsilniejszego rozwoju piśmiennictwa zawodowego, to kontrasty staną się mniej jaskrawe.

Wzburzenie umysłów pod wpływem rozdarcia Ojczyzny, walki o wyrwanie jej ze szponów najeźdźców i uciążliwa niewola powstrzymywały postęp. Rządy zaborcze nie dążyły do podnoszenia poziomu wiedzy ogrodniczej, stłumiły działalność instytucji społecznych, które mogłyby wpływać na rozwój piśmiennictwa i nie tylko nie śpieszyły z pomocą, ale starały się przy pomocy różnych środków gnębić wszelkie objawy bujniejszego życia i podnoszenia się ducha narodu. A piśmiennictwo tam tylko rozkwita, gdzie tętno życia swobodnie bić może.

To też w wolnej, potężnej jeszcze Polsce, kłuły się pierwociny piśmiennictwa ogrodniczego, a mocny duch sprawił, że nawet w okresie jeszcze niewoli wśród polskich dzieł ogrodniczych mamy pomniki niepowszedniej wartości. Wśród nich zaś są też prace kobiet polskich.

Bo ogród był po wsze czasy terenem, nad którym płeć piękna rozciągała opiekę, który zdobyła swem zamięłowaniem do piękna, swem wytworzeniem poczuciem estetyki.

Więc choć pierwsze wzmianki o ogrodnictwie spotykamy w XVI wieku w kalendarzach i książkach, o rolnictwie traktujących (kalendarze z r. 1528—i 1529, przechowywane w bibliotece w Kórniku), to jednak wśród ksiąg, w XVIII w. ogrodnictwu poświęconych, spotykamy nazwisko polki — kobiety. Była nią księżna Jabłonowska, która w okresie pomiędzy r. 1777 a 1800 wydała pierwszy „Porządek robót miesięcznych ogrodniczych”.

Niedługo po tej pierwszej pracy, bo już w roku 1805 ukazuje się poważne dzieło Izabelli księżnej Czartoryskiej „Myśli o zakładaniu ogrodów”.

Księga formatu dużej ósemki, ozdobiona sztychami, stanowi pracę wiekopomną, która w swoim czasie wywołała przewrót w dziedzinie tworzenia ogrodów w Polsce.

Gdy do końca wieku XVIII wszechwładnie królował styl francuski, prostolinijny, gdy roślina jako jednostka, nie odgrywała tam żadnej roli, a tylko stanowiła część składową wielkiej masy, zwarto sadzonej i strzyżonej w olbrzymie prostopadłe ściany — księżna Czartoryska w ukochanych Puławach park na inną modłę urządziła.

Ona pierwsza wyłamała się z szablonu, ona pierwsza uczciła piękno naturalne drzew i krzewów, rosnących na swobodzie.

Ona pierwsza zaczęła głosić zasadę, że treścią istotną ogrodu są rośliny, które podziwiać winniśmy w pełnej ich krasie, a drogi służą do tego, żeby nas wiodły tam, gdzie się najpiękniejsze otwierają widoki, gdzie na tle szmaragdowej zieleni trawnika wznosi się dumnie, nieskażona dotknięciem ręki ludzkiej, kształtna kopuła ulistnionych konarów debów, lip, klonów, czy kasztanów.

Zapewne popularności sławnego domu Czartoryskich przypisać należy w części niezwykle poczytność dzieła księżnej Izabelli. Bowiem już w dwa lata „Myśli o zakładaniu ogrodów” doczekały się drugiego wydania i niosły w świat natchnione wskazania, tak mądre, tak pełne trwałej wartości, że i dziś, kto w Polsce pragnie zakładać ogrody strojne, ma święty obowiązek tę księgę sumiennie przestudjować.

Naówczas jednak ogrody strojne przywilej siedzib pańskich stanowiły i możni tylko piękne parki mieć mogli.

Nie [dziw więc, że przedstawiciele najwybitniejszych rodów pisali o ogrodnictwie, tembardziej, że ich udziałem była wyższa kultura, nabyta w szkołach, i w podróży, i w obcowaniu z dworami i magnatami, a niezbędna do pracy literackiej, do nauczania innych obywateli.

Więc miał się pióra mąż wielce dla ogrodnictwa zasłużony, Stanisław hr. Wodzicki, który z zagranicy do swego Niedźwiedzia mnóstwo roślin z obcych krajów sprowadzał i przyzwyczajał do naszego klimatu, książki pisał, a w okresie swej najwyższej działalności, pomiędzy r. 1818 a 1836, wydawał nawet przez lat 8 pierwszy kwartalnik „Dziennik ogrodniczy”.

Szerzył on znajomość roślin, budził w kraju zamięłowanie do ogrodnictwa i pouczał o korzyściach, które ono przynosi.

Ten „Dziennik ogrodniczy” był pierwszym w Polsce pismem periodycznym. Z jego zamknięciem zamarła ogrodnicza praca periodyczna, aż do roku 1879.

(c. d. n.)



PRAKTYCZNE PROWADZENIE DOMU

— Dotąd pisałam tylko o wskazówkach Krystyny Fréderich co do kuchni właściwej, jej urządzenia, ułatwienia czynności przez odpowiednie narzędzia, dzisiaj będę mówiła o zakupach, oszczędzaniu przy nich czasu i oszczędnościach, jakie można pozyskać, robiąc je we właściwej porze.

Otóż autorka dzieli zakupy na takie, które można robić na czas dłuższy, (raz na miesiąc, lub raz na dwa tygodnie) i na takie, które co najwyżej dwa dni trwać mogą. Do pierwszych zalicza: kawę, herbatę, kakao, cukier, mąkę, kasze wszelkie, ryż, makaron, owoce suszone i w konserwach, jarzyny suszone i w konserwach, tapjokę, masło solone, szmaliec, słoninę soloną, lub wędzoną, kartofle (zimą), konserwy z ryb i mięsa, korzenie i przyprawy, mydło do prania i toaletowe, krochmal i inne dodatki do prania. Do drugich: mięso, drób, jaja, ryby, jarzyny i owoce świeże, mleko, śmietanę i wszelkie inne psujące się produkty. Pierwsze należy kupować raz na miesiąc, kupując w hurcie płaci się za nie taniej, nie płaci się za wagę torebek i papieru, co ma miejsce przy kupowaniu drobnymi ilościami, można dobrze przyszedzić rzetelność wagi, gdyż robiąc duży zakup, robi się nie śpiesząc, kupiec, dla nabywających większą ilość towaru jest uprzejmniejszy, — wszystkie te pozorne drobiazgi dobra gospodyni powinna przyjąć pod uwagę. Ilość potrzebną na miesiąc każda gospodyni powinna sobie obliczyć na zasadzie swojej praktyki, notując wszystko co zużyto w ciągu jednego miesiąca — przy czem jeżeli kupowała wszystko małymi ilościami (przy hurtowym kupnie okaże się pewna oszczędzona ilość), o którą mniej można będzie kupić w następującym miesiącu. Ilości, podane w książce i obliczone na 4 osoby, zupełnie się zgadzają z ilościami potrzebnymi u nas na taką ilość osób, co dowodzi, że w Ameryce klasa średnia odżywia się również obficie, jak u nas. Produkty świeże, psujące się, radzi pani Fréderich nabywać co drugi dzień, zakupy te robi sama, w godzinach przechadzki z dziećmi, (w dni swobodne od zakupów używa godzin przechadzki na odwiedzenie wraz z dziećmi bliższych znajomych i krewnych). W Ameryce istnieje wprawdzie zwyczaj przysyłania towarów, obstalowanych telefonicznie, do domów, autorka jednak słusznie twierdzi, że samej zawsze łatwiej wybrać kawałek mięsa, stwierdzić świeżość ryby, wybrać odpowiednią jarzynę, — że waga w naszej obecności jest lepsza i wszelkie zakupy radzi robić gospodyni samej, — na przechowanie ich do dnia następnego w kuchni powinna być lodówka pokojowa, bez tego przyrządu kuchnia prowadzona racjonalnie obyć się nie może, powinna ona stać pod szafą, z suchymi zapasami, lub chociaż obok niej, aby ani chwili czasu na przynoszenie produktów nie stracić.

Autorka nic nie pisze o mleku i pieczywie. We wszystkich prawie miastach niemieckich i wielu francuskich, a bodaj, że w całej Szwajcarii gospodyni wiesza na zewnętrznej kłamce drzwi torebkę na pieczywo, z przypiętą do niej kartką, opiewającą ilość i jakość żądanych bułeczek, piekarski subjekt wkłada pieczywo, a kartkę zabiera, na zasadzie tych

kartek w końcu tygodnia reguluje się rachunek. Że o tym wygodnym zwyczaju autorka nie wspomina jest naturalnem wobec zwyczaju amerykańskiego pieczenia nie tylko bułek i ciastek, lecz nawet chleba w domu. Natomiast dziwi mnie mocno, że nic nie wspomina o mleku, we wszystkich krajach wyżej wzmiankowanych przed domami rano stoją szeregi blaszanek na mleko, zaopatrzone w inicjały właścicieli. Mleczarka, przejeżdżając, napełnia je, a gospodyni powstaniu pozostaje tylko zabrać mleko do kuchni. Cudowne zwyczaje oszczędzające masę czasu. Nie dosyć jest kupić, należy kupione racjonalnie zużytkować, wyzyskać smak, aromat i pożywność danego produktu, ułożyć jadłospis tak, aby stosunek jarzyn i mięsa, nabiału, tłuszczów, mącznych produktów był zachowany, aby zarezerwować owocom świeżym i konserwowanym odpowiednie miejsce, aby pamiętać o tem co zdrowe dla dzieci, a co odpowiednie dla pracującego poza domem i dwa razy na dzień tylko solidnie posilającego się męża.

Amerykański mąż jada solidne, bardzo solidne śniadanie, składające się z owsianki mięsa, jaj, rodzaju racuchów z marmeladą lub „jamem“, poczem cały dzień ma chyba czas przełknąć gdzieś szklankę piwa, lub herbaty, — drugie śniadanie „lunch“ i podwieczorek „five o'clock tea“ spożywają tylko kobiety i dzieci; dopiero między szóstą a ósmą zależnie od rodzaju zająć, wraca zgłodniały taki pan do domu i musi solidnie się posilić. Trudno taki posiłek zastosować do zdrowia drobnych dzieci, to też mimo dodatkowej pracy p. Fréderich oddzielnie daje obiad dzieciom i już o 6-tej układa je do snu. Podobno przyjaciółki z niej żartują, że ma zmechanizowane dzieci, ale, ponieważ dzieci są zdrowe i doskonale się hoduja, mało to ją wzrusza.

Ogromny też nacisk kładzie autorka na wymagania od kupców dobrej miary i wagi. Rzeźnik, przygotowując befsztyki lub sznycle, powinien wszystkie obrzynki i kostki zapakować razem, zamiast je wrzucić pod ladę i sprzedać innym. U nas jest inaczej, u nas trzeba pilnować, aby zamiast mięsa nie włożył połowy kości, co nie zmniejsza jego skłonności do niedoważania, kontrola ścisła wagi i miary przy każdym zakupie jest kardynalnym obowiązkiem gospodyni, przy zakupach rzeczy ciężkich, jak węgiel, kartofle, powinna być podana dokładna waga na worki, a worek sam zaplombowany. My się przeważnie żenujemy nawet mówić ze sprzedającym o tem, chociaż nieraz widzimy owe niedoważanie, a już nasze służące, to wprost uważają za dobry ton, ignorować wszelkie malwersacje sklepikarza.

Szczególniej miary nabiału, mleka, śmietanki, śmietany, są zawsze fantastycznie małe, a Kasia, lub Marysia z obrazą w głosie oświadcza: „Proszę pani, przecież ja się nie będę wyklócała o jakieś tam pół szklanki“. Całą sztukę stanowi tu przechowanie i zużytkowanie resztek, aby się nic nie marnowało, — co do tego to chyba najlepiej jest, gdy gospodyni sama gotuje, bo do przystosowania resztek do smacznego i odpowiedniego ich zużycia trzeba sporo inteligencji, dobre chęci same nie wystarczą.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

BULJON SUCHY

Wszelkie kości wołowe, byle świeże, różne ochłapy mięsa, skórki i żyły można użyć na buljon suchy. Dobrze jest dodać do nich, jeśli są gorsze kawałki i kości z cielęciny, podroby z indyków, kur, kaczek, lub gęsi.

Z kości usuwa się szpik, stanowiący wyborny przysmak wszystkim znany i kości rąbie się na drobne kawałki. Kawałki te wkłada się do kotła, zalewa wodą, aby objęła, broń Boże, nie soli. Na 20 kilo miesiwa i kości wkłada się 10 dużych marchwi, tyleż pietruszki, pięć selerów, pięć porów i 10 dużych cebul, pieprzu angielskiego łyżkę (w ziarnach) i kilkanaście goździków. Gdy się zagotuje, starannie zszumować i gotować na wolnym ogniu ze sześć godzin. Mięso w podrobach i ochłapach powinno zupełnie się rozpaść i stracić wszelki smak. Cedzi się cały płyn przez sito i daje mu zastępną Zbiera się cały tłuszcz, który przetopiony raz jeszcze może być używany zamiast frytury w kuchni.

Bulion zlewa się ponownie do kotła i gotuje przez kilkanaście godzin na wolnym ogniu, wciąż szumując. Gdy już zacznie zastępną (kroplę na zimny talerz), dodać utartej gałki muszkatołowej i utłuczonego kwiatu muszkatołowego (około dwóch łyżeczek). Gdy zupełnie zgęstnieje (uważać, aby nie przypiec), wylewa się go na głębokie talerze, po zastęgnięciu wyciska się i osusza na ciepłym, suchym powietrzu (nie w piecu, bo by się roztopił). Suchy zawija się w pergamin i przechowuje w bardzo suchym miejscu aby nie pleśniał. Można też, gotując, dodać do buljonu kilkanaście grzybów suszonych lub pieczarek, dodaje mu to bardzo smaku. Tylko solić nigdy nie trzeba, bo nigdy nie stanie.

Kawałek takiego buljonu dodany do zupy, lub sosu dodaje im smaku i aromatu i doskonale zastępuje przechwalane niemieckie Maggi.

POŻYTECZNA KONFITURA ZIMOWA

W drugiej połowie zimy, gdy letnie zapasy konfitur są na wyczerpaniu, można sobie zrobić następujące niekosztowne, a smaczne konfitury. Kilo żurawin, kilo jabłek, renet i ćwierć kilo świeżych skórerek pomarańczowych. Dwa kilo cukru zalać czterema szklankami wody i zagotować. Na syrop wrzucić skórki pomarańczowe cienko pokrajane wraz z białkami ich częściami, po paru minutach wyspać przebrane, opłukane i osuszone żurawiny. Smażyć razem na wolnym ogniu. Tymczasem obrać jabłka, usunąć z nich środki z ziarnkami, pokrajać w talarki, lub ćwiartki, wrzucić do żurawin i gotować tak długo, aż jabłka się staną przezroczyste. Gorące jeszcze składać w słoiki, gdzie powinny zastępnąć, jak marmelada. Dodawanie benzoesu do tych konfitur jest zbędne, same przez się są bardzo trwałe. Doskonale są do herbaty, kwaskowe i orzeźwiające.

SOSY DO WIEPRZOWINY

Do wieprzowiny pieczonej, lub gotowanej dobrze pasują dwa następujące, mniej znane, a łatwe do wykonania sosy:

1. Łyzkę szmalcu, lub tłuszczu od pieczeni zasmażyć łyżką maki pszennej, włożyć dwie łyżki powidel śliwkowych, zagotować parę razy, rozprowadzić sosem od pieczeni, włożyć parę goździków utłuczonych, łyżeczkę karmelu i łyżkę octu, zagotować, trzymać w cieple do chwili podania.

2. Utrzeć korzonek chrzanu, osolić, ocukrzyć, skropić octem, trzymać tak godzin parę, aby stracił zbętną ostrość, zasmażyć łyżkę szmalcu z łyżką maki, włożyć w to chrzan i pół filiżanki galarety porzeczkowej, lub syropu porzeczkowego, dolać rosółu z wieprzowiny lub sosu od pieczeni wieprzowej, wymieszać i zagotować raz tylko. Sos ten powinien być bardzo zawiesisty.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

W czasie śnieżnej zimy dobrze bardzo jest położyć dywany na śniegu lewą stroną do góry, trzepać leżące—przesuwając na czysty śnieg, aż zupełnie biały zostanie, wszystek kurz i brud zostaną na śniegu, a dywany będą jak nowe.

* * *

Arkusze zwyczajnej bibuły złożyć na troje i położyć pod splamione miejsce—na wierzch kładzie się drugi arkusz tak samo złożony, poczem zwilża się benzyną wierzchnią bibułę i mocno przyciska prasą, lub czymś ciężkim, a po jakimś czasie plama zniknie bez śladu.

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

Pani Z. Z. Mosina.

O ile sweater jest z czysto wełnianej nitki upierze się doskonale w rozgotowanym, ostudzonym mydliku. Trzeba uważać, żeby płyn był zaledwie ciepły—inaczej wełna skórczy się—o ile biała—złótknie, wgniatać w mydliku, często zmieniać, dopóki zupełnie czysta woda nie zostanie—następnie wycisnąć z niej, nie wyżyłając. Rozciągnąć na stole prześcieradło czyste—na niem ułożyć sweater, nadając mu potrzebny kształt—nakryć drugim prześcieradłem i tak zostawić, aż do zupełnego wyschnięcia.

Temperatura sypialnych pokoi powinna być 9 do 12° R. W Meranie całą noc i dzień okna górne (tak zwane oberlufty) stale są uchylone—ciepłotę w pokoju utrzymuje się za pomocą palenia—jak tylko termometr zaczyna spadać.

Pani M. W. Sabibór.

Farbę odpowiednią dostanie Sz. Pani u każdego fryzjera, lub w składzie aptecznym. Tam wskażą również jak ją zastosować.

„MÓJ KREM“

znak ochronny „Żmija“.

1) działa jako środek ochronny na zmianę temperatury; 2) przeciw zmarszczkom; 3) dla wybielenia i wygładzenia skóry; 4) do masażu; 5) nadaje się do stałego użytku pod puder i róż.

DR. J. ŚWITALSKIEJ

SKŁAD GŁÓWNY: TOW. AKC. KARPINSKI

Warszawa, ul. Elektoralna 35.

„MÓJ PUDER“

(puder higieniczny)

we wszystkich kolorach i odcieniach

Pani K. z Lublina.

Żądane przez Panią adresy załączamy: Karowa 2 — przewodniczący Dr. Szymański — lub Żelazna 90, przewodniczący Dr. Zaborowski.

Początek kursu 1 Kwietnia i 1 Października — kurs roczny — opłata 200 zł: praktyka na miejscu. Wymagane świadectwo z ukończonej szkoły powszechnej, wiek od lat osiemnastu.

Pani Ludmille Ł. Naramice.

Słusznie Sz. Pani utrzymuje, że na palmę rzuciła się mszyca tarczycowa. Trzeba zdrapywać z miejsc, gdzie się ukazała. Liście i łodygi zmyć starannie ciepłą wodą z mydłem. Wszystkie palmy wymagają jednakowego starania. Potrzebują powietrza, światła, odpowiedniej temperatury, dostatecznej wilgoci i częstego zmywania i skrapiania liści. Podlewac trzeba zawsze wodą ciepłą, cieplejszą, jak pokojową. Na pasiaki wzorów nie posiadamy — sądząc że łatwo samej dobrać można kolory i szerokość pasów.

* * *

Pani Jance z Lublina.

Bardzo dobrym środkiem na odmrożenie jest Albotherma Dr. Wieganda. Należy ją stosować przy odmrożeniach lżejszego stopnia kończyn górnych, dolnych i nosa.

Przed użyciem wymoczyć chore miejsce w gorącej wodzie od 10—15 minut biorąc łyżkę boraksu na litr wody — należy wetrzeć Albothermę, dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Zwykle po kilku dniach osiąga się znaczną ulgę, a po dłuższym stosowaniu zupełne wyleczenie.

Odmrożenie silniejszego stopnia musi leczyć specjalista.

Jadwiga T. Gródek Białostocki.

Z listu Pani odnoszę wrażenie, że leczenie daje dobre rezultaty. Skóra nie jest tak tłusta. Jeżeli pani uważa, że jest nawet za sucha, proszę wcierać większą ilość „Mego Kremu“. Przy zadrażnieniu skóry na twarzy, szyi i ramionach, trzeba przerwać leczenie włosów (siarka może drażnić). Natomiast wycierać spirytusem salicylowym skórę na całej głowie codzień.

Dobry skutek leczenia włosów sama Pani stwierdza wzmocniły i mniej wypadają. Leczenie odtłuszczające włosów należy prowadzić dłużej i systematycznie. Myć głowę należy płynem następującym: 2 żółtka, 1 łyżeczka boraksu, 1 łyżeczka

sałmiaku, 100 gr. spirytusu mydlanego i $\frac{1}{2}$ litra wody ciepłej. Wytrzeć całą skórę tym płynem i zostawić na pięć minut pianę na głowie. Włosy długie należy dzielić na pasma. Następnie dobrze spłókać, znowu wetrzeć płyn i zostawić po raz drugi na 5 minut. W końcu obficie spłókiwać wodą z octem — na 1 litr wody 2 łyżki octu.

Celina Żałobna.

Cieszy mnie to, że Pani zadowolona jest z kremu „Mój Krem“. Stosownie do życzenia Pani drugi słoik kremu został wysłany.

Na węgry, oprócz parówek, które pani stosuje, polecam wycieranie dwa razy w tygodniu na noc lekarstwem, którego receptę załączam:

Rp. Sulf. praecip. 7,0
Camph on 1,5
Gumi azob
An. calcis 40,
przed myciem.

Co się tyczy farby na brwi, obecnie nie używa się tuszów wcale, lecz farbuje farbą roślinną dr. Frenkla Saphiryną, albo Henną. Jest to sposób o wiele praktyczniejszy.

Dr. J. Świtalska.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 5

78. Suknia balowa z deseniowej georgette'y z odpasowanym szlakiem.

79. Suknia z rezedowego crêpe satin, objęta ciemniejszym aksamitem i haftowana cieniami szaro-różowymi, zielonemi i złotem.

80. Suknia z velours chiffon bois de rose i złotej koronki.

81. Suknia balowa dla młodej panienci z różowej georgette'y, przybrana marabutami i brylancikami.

82. Sukienka dla ośmioletniej dziewczynki z niebieskiego crêpe de chine'u.

83. Suknia z lila georgette'y na jedwabnym spodzie, haft złoty.

84. Suknia koloru bois de rose, dół haftowany.

85. Palto sukienne przybrane futrem i haftem.

86. Palto futrzane z kłosową falbaną.

87. Paltocik dla pięcioletniej dziewczynki z piaskowego sukna, przybrany fokami.

88. Suknia z falbaneczkami z brązowej popeliny. Palto aksamitne brązowe, przybrane haftem.

89. Ubranko dla sześciolatniego chłopczyka

90. Ubranko szewjotowe dla ośmioletniego chłopca.

91. Sukienka z lekkiej wełny dla dziesięcioletniej dziewczynki.

92. Ubranko z surowego jedwabiu dla małego chłopca.

93. Sukienka z falbankami dla czteroletniej dziewczynki.

94—95—96—97—98. Najmodniejsze fasony spólnic.

99. Wzór na portjery, aplikacja, lub haft kolorowy.

100—101. Małe serwetki — haft angielski — wielkość naturalna.



Dzieci w wieku szkolnym należy intensywnie odżywiać. Płatki owsiane Quaker Oats są tym pokarmem odżywczym, który daje im wytrwałość w nauce i zabawie.

Quaker Oats

„LAMBRO“ Sp. z ogr. odp. Warszawa. Niecała 8 tel. 76-56.

CEGIELKI AROMATYCZNE KARPİŃSKIEGO DO KĄPIELI

nadają wodzie miły zapach i przy stałym używaniu usuwają
nieprzyjemną woń potu.

Tow. Akc. „FR. KARPİŃSKI w WARSZAWIE“ ul. Elektoralna 35.

158

ZAKŁADY C. ULRICH założ. w l. 05 r. w
OGRODNICZE Warszawa, S. A.
[Centrala — Ceglana 11.]

zawiadamiają, że wyszedł z druku
CENNIK NASION NA ROK 19 6
[rozsyłany jest na żądanie.]

157



**Krem
Miaflor**
uderzająca i odświeża cerę, Chroni twarz i ręce
przed pękaniem.
HENRYK ŻAK - POZNAŃ, Fabryka perfum i kosmetyków.

Wydany przez nas bardzo starannie,

ZBIÓR MONOGRAMÓW

zawierający przeszło sześćset wzorów od wykwintnych do naj-
skromniejszych, dorównywuje pod względem wykonania zagra-
nicznym tego rodzaju wydawnictwom, a mając charakter swoisty,
bardziej odpowiada wymogom domu polskiego.

Każdy, nie umiejący nawet haftować, z naszego „ZBIORU”
(ze względu na ilustrowane pouczenia) skorzystać potrafi.

Za jeden monogram płacie Panie około 2 zł; cena na-
szego „Zbioru” wraz z przesyłką pocztową wynosi tylko 5 zł.

Wysyłka natychmiastowa po nadesłaniu pieniędzy prze-
kazem pocztowym. Za zaliczką wysyłamy tylko po otrzymaniu
1 zł. znaczkami pocztowymi.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”

Warszawa, Krak.-Przedm. 99.

Konto P. K. O. 3700.

BY MIEĆ PIĘKNE ZĘBY

należy używać

KALODENS

proszek i eliksir

WYROBU LABORATORJUM APTEKI

M. MALINOWSKIEGO

WARSZAWA - NOWY ŚWIAT 31.

Zawiadamiamy Sz. Panie Prenumeratorki, że w Administracji naszej są do nabycia dołączone do „Bluszczu” w latach 1924 i 1925

ARKUSZE
WZORÓW

naturalnej wielkości robót ręcznych do kopjowania

Arkusze te można nabyć w cenie 30 gr. za sztukę, z przesyłką pocztową zwykłą 35 gr., poleconą 65 gr.

Komplet arkuszy z 25 szt. kosztuje 7 zł., z przesyłką 7 zł. 50 gr.

152

SĄ DO NABYCIA W ADMINISTRACJI „BLUSZCZU” NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI:

Zofja Machowiczowa	„Zbiór Monogramów” z przesyłką	zł. 5.—
J. Conrad	Sześć Opowieści	1,95
J. London	Smuga Cienia	1,95
E. G. Wells	Odszczerpieniec	0,95
W. Gombulicki	Wehikuł Czasu	0,95
A. Dumas	Siódme Amen	0,95
Winawer	Dama Kameljowa	0,95
W. Grubiński	Lepsze Czasy	0,95
Tetmajer-Przerwa	Nowele	0,95
G. Maupassant	Waterloo	0,95
J. London	Miłość	0,95
J. Kraszewski	Panna Fiłi	0,95
J. London	Opow. Mórz Południowych	0,95
J. London	Hr. Cosel t. I.	0,95
J. London	„ „ „ II.	0,95
J. London	Ostatni z Siekierzyńskich	0,95
J. London	Syn Słońca	0,95
J. London	Serce Kobiety	0,95
J. London	Wilk Morski t. I.	0,95
J. London	„ „ „ II.	0,95
J. London	„ „ „ III.	0,95
J. London	Zew Krwi	0,95
J. London	Wyga	0,95
Dygasiński	Złamane Życie	0,95
R. Dickens	Opowieść Wigilijna	0,95
Mark Twain	Król i Osiół	0,95
E. Ligocki	Powrót Beatryczy	0,95

KOSZTA WYSYŁKI ZWYKŁEJ 15 GR. — POLECONEJ 45 GR.

PO OTRZYMANIU ZNACZKAMI POCZTOWEMI WYMIENIONEJ SUMY, KSIĄŻKI
WYSYŁAMY NATYCHMIAST POCZTĄ.

PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową wynosi
Rocznie—57 zł. 60 gr., kwartalnie—14,40, miesięcznie—4,80.
Zagranicą miesięcznie—6 zł. Zmiana adresu 30 gr

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście (Plac Zamkowy) № 99.
Telefon Nr 239-40

Konto czekowe P. K. O. Nr 3700.

Odbitki w Zehn. Graf. Tow. Wydawniczego „BLUSZCZ” Sp z Ogr Odp w Warszawie, Nowy Świat 8-10.